Nr. 29. Warszawa, dnia 19 (7) Lipca 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SZLACHETNA MRZONKA.

Czytelnikom *Prawdy* z osobnych w tym przedmiocie artykułów wiadomo, jak dawno już w dziejach cywilizowanego świata pokutuje idea wiecznego pokoju i międzynarodowych sądów rozjemczych. Wypłaszali ją z głów ludzkich wszyscy praktycy, t. z. „politycy realni," którzy uznawali ją za mrzonkę niemożliwą do spełnienia. Mimo to uwięzła ona w przekonaniach, w teoryach, w rojeniach o przyszłości, w których tkwi dotąd uparta, niepokonana i wiecznie odmładzająca się. Szczególną moc i żywotność nadaje jej ta coraz szerzej roztaczająca się wiara, że przecież kiedyś narody zaprzestaną barbarzyńskich walk, mordów i grabieży, jak ich zaprzestały już jednostki; że to, co się dokonało w stosunkach osobników każdego społeczeństwa, to również dokonać się musi w stosunkach społeczeństw. Kto nie wątpi o postępie, nie może również wątpić i o tej jego fazie; zachodzi tylko pytanie, o ile zbliżyliśmy się do możliwości usunięcia wojen, jako środka rozstrzygającego spory międzynarodowe.

Poseł włoski Bonghi mniema, że już nadeszła ta pora; więc wystąpił z wnioskiem do Izby, ażeby ta wezwała rząd do zajęcia się tą sprawą, innemi słowy: nakłonienia dla niej wszystkich państw. Crispi z największą gotowością, która go nic nie kosztowała, pochwalił szlachetną myśl Bonghiego, ale oświadczył, że ona w obecnych czasach jest niemożliwą do urzeczywistnienia i że Włochy są w stanie zrobić tylko to, co robią: zapobiegać wojnie pokojem zbrojnym. Po tem objaśnieniu złożono utopię do archiwum — i na obraz sielankowy spadła zasłona.

Ale niezadługo podniosła się ona znowu w Londynie, gdzie obradować zaczął kongres przyjaciół pokoju, wielkiego stowarzyszenia międzynarodowego, które corocznie w różnych miastach powtarza swój zbiorowy głos wołających na puszczy. Naturalnie i tam idea wiecznego pokoju i sądów rozjemczych zajaśnieje całym blaskiem i zgaśnie.

Zdawałoby się, że wypisywanie jej na sztandarze dziś, w epoce panowania militaryzmu, w czasie milionowych armij i miliardowych na nie wydatków, w chwili gorączkowego ruchu uzbrojeń —jest poprostu donkiszoteryą. Niewątpliwie, ale jeśli z drugiej strony zważymy ten olbrzymi i ciągle wzrastający ciężar pogotowia wojennego, który gniecie narody, nie zadziwi nas to, że właśnie w takiej chwili ożyło pragnienie wiecznego pokoju i sądów rozjemczych. Przed paru jeszcze laty mniemano, że to brzemię w jakiemś starciu spadnie, że trwoga w szybkiej katastrofie się skończy, że nadciągająca burza oczyści duszącą atmosferę. Teraz już ta nadzieja osłabła, odkąd ze wszech stron kosztowny, rujnujący i miażdżący pokój zbrojny uznany został za położenie trwałe, za normalny układ stosunków międzynarodowych. Kierownicy polityki Niemiec, Austryi, Włoch i Francyi oświadczyli wyraźnie, że nieprzerwane uzbrojenia będą szły bez końca, bez kresu, bez oznaczonego terminu, jako główny kierunek rozwoju państw. Twórca tego kierunku, ks. Bismark niedawno rzekł z ironią, że każdy nowy pułk stanowi nowe premium asekuracyjne pokoju, który bez tego ubezpieczenia nie da się dziś nawet pomyśleć. Dawniej, pomnażając liczbę żołnierzy i wydatki wojskowe, nadawano tym przygotowaniom charakter tymczasowy, ograniczony blizkim celem, zamierzoną wojną; dziś potęguje się siły militarne z takiem przekonaniem o ich trwałości, jak np. buduje się zakłady przemysłu lub oświaty. Nic właśnie tych, w daleką przyszłość sięgających uzbrojeń, tego na długie lata pogotowia wojskowego natchnął marzycieli myślą wyjścia z okropnego położenia zapomocą ustanowienia międzynarodowych sądów rozjemczych. O ile więc idea ta jest oderwanym od rzeczywistości snem, o tyle odpowiada istotnemu nastrojowi teraźniejszości. Zresztą, kto wie, czy ona prędzej niż sądzimy, nie okaże się jedynem rozwiązaniem splątanego węzła stosunków i zatargów międzynarodowych. Gdy wszystkie państwa staną pod bronią, gdy do ostatecznych granic wytężą swe siły militarne, gdy środki mordercze doprowadzone zostaną do najwyższej doskonałości, gdy nikt nie zechce rozpocząć ryzykownej i nieobliczonej w swych skutkach wojny, może wtedy szlachetna mrzonka będzie najpraktyczniejszą radą.

Z AUSTRYI.

Kruszenie się ugody czesko-niemieckiej. — Wybór delegatów do czeskiej Rady szkolnej. — Widoki na „Beamtenministerium" w Austryi.

Kto pomija słowa a faktów się trzyma, w układzie czesko-niemieckim upatrywać musi nie podstawę pojednania zwaśnionych narodowości, lecz zarzewie walk coraz to nowych. Jeżeli już generalna nad urzeczywistnieniem programu ugodowego dyskusya w sejmie czeskim przedstawiała obraz groźnych walk parlamentarnych, to dziś, gdy punkty szczegółowe praktycznie w życie mają być wprowadzone, maska zgody spada, a walka toczy się jawnie. Wybór delegatów do czeskiej Rady szkolnej był w tych dniach przedmiotem namiętnych rozpraw w prasie czeskiej, austryackiej i niemieckiej. Rada Pragi wybiera dwóch delegatów do tej Rady ze swego łona. Warunki układu wiedeńskiego zobowiązywały czechów do wyboru jednego przedstawiciela niemieckiego. Kiedy niemieccy członkowie konferencyj ugodowych zapytywali o rękojmię tego wyboru, Rieger odparł, że tą rękojmią może być jedynie moralną, nie formalną, i że ją w tej chwili składa delegatom niemieckim. Schmeykal w imieniu ich na to się zgodził.

Dziś, kiedy wybory się odbyły, niemcy rezultatu ich nie przyjmują, uważając je za wezwanie do walki, za wiarołomność polityczną i lekceważenie stronnictwa swego. Obrano jednak istotnie niemca — Heinri-

cha, posła do Rady państwa, dyrektora gimnazyum w Pradze. Kimże jest ten niemiec Heinrich, który tak nie przypadł do gustu swym rodakom? Jest on naprzód mężem czeszki, córki burmistrza praskiego; powtóre zwolennikiem odrębnego w polityce czesko-niemieckiej kierunku; głównym dawniej a dziś jedynym pono w Radzie państwa przedstawicielem t. zw. „Wirthschaftspartei," która nie bacząc wcale na utarczki narodowościowe, bronić pragnie wspólnego, ekonomicznego interesu kraju. Rzecz jasna, że w czasach tak zaostrzonej walki narodowościowej człowiek z podobnym programem uchodzi za odstępcę. Tem też mianem obrzucają Heinricha pisma niemieckie. Czesi, o ile myślą o swej obronie, dowodzą w pismach, że początkowo nie proponowali wyboru Heinricha, lecz chcieli oświadczyć się za profesorem wszechnicy dr. Ludwigiem, na którego niemieckości niema plamy: kandydata jego wszakże odrzucili niemcy, gdyż i on — ożeniony z czeszką. Heinricha wybrano tedy niejako „na złość" z całą świadomością, że pretensyom niemców zadość nie czynią. Niemcy rozpoczynają akcyę, która zaraz w pierwszych dniach groźne przyjęła rozmiary: z wielu miast niemieckich rady gminne wysłały telegramy do delegatów komisyi ugodowej, wzywające ich do zerwania ugody. Pismom niemieckim zaś donoszą, że pozycya hr. Taaffego zachwiała się, że cesarz przestał ufać skuteczności jego polityki i że zamierza, usunąwszy gabinet obecny, powołać do życia ministerstwo złożone z urzędników („Beamtenministerium"), które w miejsce systemu układów i konferencyi postawi system dekretów.

N.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rozmowy korespondentów dziennikarskich z rozmaitymi dostojnikami stanowią obecnie główny splot tematów politycznych. W splocie tym najgrubszą nicią są wynurzenia ks. Bismarka, który nie przestaje miotać się w bezsilnym gniewie. Przyjął on u siebie współpracownika *Frankf. Journal*, któremu oświadczył, że dzienniki, dawniej mu służące, obecną swą ku niemu obojętnością lub niechęcią zdradziły swą podłość, że konferencya zwołana w sprawie robotniczej była dziełem frazeologii a jej wynik równa się zeru, że Helgoland kupiony został za drogo itp. Dodał wreszcie, że gdyby był pozostał przy władzy, okiełznałby jeszcze mocniej socyalno-demokratów i zażądał od sejmu jeszcze większych środków na wojsko. Wynurzenia te bądź wzmocniły w niemcach wdzięczność dla cesarza, że usunął gnębiciela, bądź też oburzyły ich lekceważącą krytyką działań monarchy. Oprócz pełniącej obecnie służbę przy strąconym gazety hamburskiej i kilku łaszących się jeszcze do niego, cała prasa niemiecka potępia niesforność gadatliwości byłego kanclerza. *Kreuz-Zeitung* wprost pozywa go przed sąd opinii publicznej za obrazę majestatu, którego mienił się obrońcą, a który dziś zuchwale znieważa, przypominając mu, że żaden dymisyonowany minister niemiecki, nawet wyzwany przez napaście, nie bronił się ani zdradzaniem tajemnic urzędowych, ani krytykowaniem działań rządu. Daremno przestrogi! Bismark znajduje się w stanie rozstroju umysłowego i sali cierpiącej miłości własnej— a na takie choroby niema lekarstwa.

Inna również rozmowa narobiła wrzawy. Korespondent *Köln. Ztng*, przyjęty przez króla Oskara, ogłosił, między innemi, przychylne jego słowa o Bismarku, czem monarchę szwedzkiego mocno obraził ze względu na cesarza niemieckiego, który jest jego gościem. Nie było zresztą dotąd w zwyczaju, ażeby rozmowy z panującymi powtarzać publicznie. Niedyskretnego korespondenta skarcono, ale gazeta osiągnęła swój cel — narobiła hałasu.

Szwedzi i norwegczycy z zapałem przyjmują Wilhelma II pomimo swych demokratycznych a nawet republikańskich usposobień. Mają bowiem do tego dwa ważne powody. Naprzód monarchowie europejscy od setek lat nie odwiedzali dworu szwedzkiego, powtóre cesarz niemiecki, który już po raz drugi przyjeżdża na półwysep Skandynawski a poprzednio objeżdżał go jako podróżnik, robi mu głośną reklamę turystyczną.

Wojna o trzodę chlewną między Austryą a Serbią trwa dalej, ale zdaje się chylić ku końcowi. Jak zwykle, ulegnie strona słabsza. Ponieważ węgrzy twierdzą, że w Serbii panuje ciągle zaraza na świnie i tem usprawiedliwiają zamknięcie swej dla nich granicy, więc serbowie żądali naprzód wysłania delegacyi na grunt dla sprawdzenia faktu a następnie — gdy im odmówiono — ustanowienia na komorach stałych komisyj rewizyjnych. Austrya jeszcze zwleka z ustępstwem, ale sama tracąc na zerwaniu stosunków, da się wreszcie przebłagać, gdy otrzyma „rękojmie."

Najlepszą taką rękojmią był Milan, ale gdy — jak twierdzi rząd serbski — został „osobą prywatną," niemile w kraju widzianą, dobry jest przynajmniej Garaszanin, ubezwładniony i nieczynny dotąd przywódca postępowców, który wystąpił znowu na widownię, zaczął organizować swoje szczupłe stronnictwo i gotuje się do walki.

Doniesiono, ale natychmiast zaprzeczono, jakoby na naradzie familijnej w Karlsbadzie głowa rodziny Koburgów, ks. Ernest, nakłaniał Ferdynanda do dobrowolnego opuszczenia Bułgaryi. Według ostatnich wiadomości młody Koburg powraca do Sofii.

Do prezydenta Carnota strzelił na ulicy ślepym nabojem — jak się okazało — waryat.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ROZKAZ NAJWYŻSZY.

Rada państwa, w połączonych departamentach ekonomii i praw, i na ogólnem zebraniu rozważywszy wniosek ministra oświecenia o zmianie wykazu liczby lekcyj tygodniowych w gimnazyach męzkich, uchwaliła:

I. Wykaz liczby lekcyj tygodniowych w gimnazyach męzkich złożyć do Najwyższego Jego Cesarskiej Mości rozpoznania.

II. W zamian odpowiednich rozporządzeń postanowić:

Na wakacye letnie w gimnazyach i szkołach realnych, miejskich i powiatowych przeznacza się dwa miesiące. Początek wakacyj oznacza minister oświecenia.

Najjaśniejszy Pan wyłuszczoną opinię Rady państwa 12 (24) czerwca 1890 roku

---

1)

KAROLKA.

W jednym z numerów *Kuryera* pod rubryką wypadków donoszono: „W dniu dzisiejszym zmarła, otruwszy się fosforem z zapałek, Karolina L., lat siedemnaście licząca, pełniąca obowiązki sklepowej w składzie towarów norymberskich przy ulicy Zimnej, pod nr. Chorą na parę godzin przed śmiercią odwieziono do szpitala. Przyczyną samobójstwa, jak upewniają, była zawiedziona miłość..."

Właścicielka sklepu przy ulicy Zimnej, pani Fuchsowa, w kilka tygodni potem opowiadała pani Z., którą los Karolki żywo zajmował, co następuje:

— Bardzo lubiłam to dziecko i wszyscy ją lubili. Pani sama i tyle innych osób pewnie dla niej tylko tu do mnie przychodziliście. Daleko lepiej zaczęło mi wieść się, odkąd ją wzięłam do siebie, a wszyscy mi mówili, że Antoniewiczowej, u której dawniej była, gorzej się wiodło po jej odejściu.

Pani ją znała i widziała, że była zawsze dobra, łagodna, spokojna, a z tem wszystkiem bardzo szybka i dokładna w robocie. Zanim ja jednego gościa zdążyłam zaopatrzyć w żądane sprawunki, ona zaspokoiła dziesięciu przez ten czas i nieraz jeszcze namówiła ich na coś, czego nie mieli zupełnie zamiaru kupić.

W ostatnich czasach szczególniej usiłowała mi dogodzić i rwała się do roboty.

Do niczego nie pozwoliła mi się dotknąć. Sama przyjmowała od hurtowników nowe towary i układała je na półkach; sama rozmawiała z robotnicami, dostarczającemi ręcznych prac; sama sprzedawała; sama sprzątała i urządzała wystawę sklepową, a wreszcie, ile razy tylko miała wolną chwilę — pomagała mi w wykończeniu wszywek szydełkowych, których przy niej zbywałam bardzo dużo.

Nigdy tak nie odpoczywałam, jak przez te kilka miesięcy, kiedy ona była u mnie a nigdy przytem nie miałam tylu gości i takiej sprzedaży.

Nieraz — myślałam sobie, że jestem zupełnie niepotrzebna w sklepie i wychodziłam na miasto, do znajomych, którzy, widząc mię, żegnali się znakiem krzyża świętego ze zdziwienia; dawniej bowiem — jak rok długi — nie odwiedzałam nikogo.

Kasę z początku obliczałam co wieczór. Później widząc, iż w niej było zawsze więcej, niż potrzebowałam na swoje wydatki, nie kontrolowałam już, tylko mówiłam do Karolki: „Co zbędzie na nowy rok, to rozdzielę na połowę: część zatrzymam, a część— złożę do kasy oszczędności na posag dla ciebie..."

Ona mi odpowiadała: „Do nowego roku jeszcze daleko; wszystko może się zmienić; ja mogę nie być u pani..."

Żartowałam z niej, iż może się za mąż wybiera.

Odpowiadała krótko: „nie" i tak się zawsze zakręciła koło jakiejś roboty, że nie mogłam już nic więcej z niej wydobyć.

Kiedyś, wiedząc, że straciła rodziców w dziesiątym roku życia, zapytałam, czyby nie chciała zostać moją córką? Nie miałam ani bliższej, ani dalszej rodziny: byłabym ją adoptowała, aby jej przekazać sklep po mojej śmierci.

Rozpłakała się. Pocałowawszy mię w rękę — rzekła: „Nie, nie mogę nosić pani nazwiska..."

Zapytałam, dlaczego?

Wstrzymując łkanie, podnosząc jej piersi, wstrząsnęła głową kilka razy i powtórzyła: „Nie, nie, nigdy!.."

Dziwiło mię to i zastanawiało bardzo.

Wogóle zauważyłam w Karolce skrytość, która zaczynała mię niepokoić.

Była dla mnie dobra, troszczyła się o zdrowie moje i wygody, jak nikt dotąd; czułam jednak, iż często musi mieć myśli, których nie chce wyznać przede mną.

Kiedy ją zobaczyłam pierwszy raz, gdząc za sklepową, spytałam, dlaczego odeszła od Antoniewiczów, u których była przez trzy lata?

Odpowiedziała mi: „O małą rzecz się rozeszło" — i ani jednego słowa o tem później już z niej nie mogłam wyciągnąć.

Nastręczyła mi ją pewna pani, która ją znała z tamtego sklepu, a która raz, przechodząc, wyczytała napis w mojem oknie:

Najwyżej zatwierdzić raczył i wykonać polecił.

Wykaz tygodniowy liczby lekcyj w gimnazyach wydziału ministeryum oświecenia, Najwyżej zatwierdzony 12 (24) czerwca 1890 roku:

Religia: Klasa przygotowawcza 4 godziny, I kl. 2 g., II kl. 2 g., III kl. 2 g., IV kl. 2 g., V kl. 2 g., VI kl. 2., VII kl. 2., VIII kl. 2 g., razem 16 godzin.

Język ruski z językiem cerkiewno-słowiańskim, literatura i logika: klasa przygotowawcza 6 godzin, I kl. 5 g., II kl. 4. g., III kl. 4 g., IV kl. 3 g., V kl. 3 g., VI kl. 3 godz., VII kl. 3 g., VIII kl. 4 g., razem 29 godzin.

Język łaciński: I klasa 6 godzin, II kl. 6 g., III kl. 5 g., IV kl. 5 g., V kl. 5 g., VI kl. 5 g., VII kl. 5 g., VIII kl. 5 g., razem 42 godziny.

Język grecki: III klasa 4 g., IV kl. 5 g., V kl. 6 g., VI kl. 6 g., VII kl. 6 g., VIII kl. 6 g., razem 33 godziny.

Matematyka: Kl. przygotowawcza 6 g., I kl. 4 g., II kl. 4 g., III kl. 3 g., IV kl. 4 g., V kl. 4 g., VI kl. 4 g., VII kl. 3 g., VII kl. 3 g., razem 29 godzin.

Fizyka: VI kl. 2 g., VII kl. 3 g., VIII kl. 2 g., razem 7 godzin.

Historya: III kl. 2 g., IV kl. 2 g., V kl. 3 g., VI kl. 2 g., VII kl. 2 g., VIII kl. 2 g., razem 13 godzin.

Geografia: I kl. 2 g., II kl. 2 g., III kl. 2 g., IV kl. 2 g., razem 8 godzin.

Język francuski: II kl. 3 g., III kl. 2 g., IV kl. 3 g., V kl. 3 g., VI kl. 2 g., VII kl. 3 g., VIII kl. 3 g., razem 19 godzin.

Język niemiecki: II kl. 3 g., III kl. 3 g., IV kl. 3 g., V kl. 3 g., VI kl. 3 g., VII kl. 2 g., VIII kl. 2 g., razem 19 godzin.

Kaligrafia i rysunki: Klasa przygotowawcza 6 g., I kl. 4 g., II kl. 4 g., III kl. 4 g., IV kl. 2 g., razem 10 godzin.

Ogółem wypada tygodniowo lekcyj dla uczących się obu języków nowożytnych: w klasie przygotowawczej 22 godz., I kl. 23, II kl. 28, III kl. 29, IV kl. 29, V kl. 29, VI kl. 29, VII kl. 29, VIII kl. 29, razem 225 godzin.

Dla uczących się jednego języka nowożytnego: francuskiego: w klasie przygotowawczej 22 g., I kl. 23, II kl. 25, III kl. 26, IV kl. 26, V kl. 26, VI kl. 27, VIII kl. 27, razem 206 godzin.

niemieckiego: w klasie przygotowawczej 22 godzin, I kl. 23, II kl. 25, III kl. 27, IV kl. 26, V kl. 26, VI kl. 27, VII kl. 26, VIII kl. 26, razem 206 godzin.

Uwaga. Lekcye języków nowożytnych tak są rozłożone, ażeby życzący tego sobie, za decyzyą dyrektora, po porozumieniu się jego z radą pedagogiczną, mogli uczyć się obudwu; niewykazującym postępów w przedmiotach obowiązkowych pozwolenia na to udzielać nie można.

(D. n.).

LISTY WIEDEŃSKIE.

12 lipca.

Ruch emancypacyjny wśród kobiet wiedeńskich. — Występy panny Pospiszil w Burgtheatrze.

W życiu umysłowem i społecznem Wiednia największe zajęcie budzą zabiegi około uzyskania dla kobiet wstępu do wyższych instytucyj naukowych. Jeszcze w maju b. r. najpoważniejsze stowarzyszenia kobiet utworzyły komitet, który ułożył petycyę do Rady państwa. Domagano się w niej dopuszczenia panien na wykłady medycyny i filozofii. *Wiener Tagblatt* ogłosił tę petensyę, podpisaną przez kilkanaście tysięcy kobiet. Dziennik ów, którego redaktorem jest sprytny Scheps, zajął się tą sprawą w sposób charakterystyczny dla prasy wiedeńskiej, tj. wyłącznie ze stanowiska rozgłosu. Niebawem dowcipniś pewien odezwał się w łamach tegoż *Tagblattu* z pytaniem, czy emancypacya niewieścia nie zawiera niebezpieczeństwa dla poezyi, która otacza dziś kobiety, i dla miłości, której u nich szukamy. Na odnośny fejleton autorka petycyi, uproszona przez komitet złączonych stowarzyszeń niewieścich, odpowiedziała artykułem dłuższym p. t. „Czy emancypacya szkodzi miłości?", który powszechną zwrócił na siebie uwagę. Zawiera on istotnie wywody dowcipne i trafne, z którymi zapoznać się warto.

Kobiety chcą się wyzwolić — mówi autorka — skąd mężczyźni czerpać będą poezyę? Zarzut to na pozór pochlebny dla pierwszych. Lecz czy istotnie żądać można od kobiet, aby urządzały swe życie w sposób najbardziej odpowiadający wymaganiom liryków? Gdyby emancypacya usprawiedliwić się miała z tego jedynie zarzutu, że tamuje produkcyę wierszy lirycznych, zaiste nie potrzebowałaby obrońcy. Lecz nie o to chodzi. Kobiety są traktowane dziś jak dzieci. Skoro się dobrze zachowują, tj. są posłuszne, bywają chwalone i zaszczycane imionami pieszczotliwemi; kiedy słuchać nie chcą, czeka je gniew i szyderstwo. Mit o Parysie i jego jabłku zawiera tajemnicę ich wychowania. Chociażbyś była boginią olimpijską, od mężczyzny dopiero odbierzesz świadectwo swej wartości. Bądź uosobioną mądrością, potęgą lub pięknością, musisz przyrzec Parysowi Helenę, aby znaleźć uznanie: „Die Gefällige ist die Gefällende," bądź usłużną, a podobać się będziesz. W ten sposób kobieta żyje i działa według życzenia i woli drugich, samolubna w swej bezinteresowności, nieczysta w niewinności, niezasługująca na szacunek najwyższy w swej pracy, nieszczera we wzniosłych swych dążnościach — gdyż w tem wszystkiem stara się o łaskę. Kobieta jest aktorką, występującą przed publicznością męską; w monologu, trwającym przez życie całe, gra ona „to, czego chcecie." Pomiędzy nią a rzeczą każdą stoi mężczyzna, którego uważać musi za źródło wszelakiego światła.

On ma ideały — ona bożyszcze tylko. Jakiejże do tego potrzeba cierpliwości, aby czekać tak długo, aż się znajdzie boga w postaci ludzkiej i jak gorzkich doznają kobiety rozczarowań! Niejedna już, upodobawszy sobie dolę mitycznej Europy, za późno się przekonała, że nie z Jowiszem miała do czynienia.

Jest miłość, która nie opiera się na miłosierdziu silnego dla słabego, lecz na świadomości swobody i równouprawnienia; miłość ta pragnie, aby kobieta była dzielną i mądrą. Lecz przeciętni przeciwnicy wyzwolenia twierdzą, że emancypantkami są te, których nikt nie wybrał, kobiety brzydkie, niekochane i mszczące się. Emancypacya — tak głosi opinia powszechna — to rzecz niezamężnych. Jest to emigracya w krainę niepospolitości i niesłuszności, spowodowana głodem. Nadliczbowe kobiety pracować muszą, aby się utrzymać: są to istoty zrozpaczone. Rzuciwszy miotłę i żelazko, w wybuchu wściekłości napadają mężczyzn, wyrywają im pióro, lancet i pędzel, rozszalałe puszczają się w świat—i dokonywają czegoś. Rozżaleni mężczyzni wołają w niebogłosy: na pomoc, ustawodawco!

„Potrzebna panna do pomocy w sprzedaży..." Ta pani także nie wiedziała, dlaczego Karolka odchodzi od Antoniewiczów. Jej także na zapytanie odpowiadała: „O małą rzecz się rozeszło..."

Dziwiło mię to, że ona bardzo niewiele miała bielizny i nędznie się ubierała. Czysto było koło niej zawsze, ale spódniczka i stanik — jedne i te same od święta i od dni powszednich—w kilku miejscach miały łaty i cery: musiała je nosić oddawna.

Pytałam sama siebie: „co ona robi z pieniędzmi?"

Gdy ją o to zagadnęłam—odrzekła: „rozchodzą się..."

Kiedyś podpatrzyłam ją mimowoli.

Byłam za przepierzeniem, oddzielającem sklep od małego, ciemnego pokoiku, przeznaczonego na skład pak i wysortowanych towarów. Włożywszy kapelusz na głowę, szukałam rękawiczek, przygotowywując się do wyjścia, gdy usłyszałam, iż ktoś otworzył drzwi sklepu. W chwilę potem dolecialy uszu moich głośne pocałunki.

Zatrzymałam się i, wychyliwszy głowę za przepierzenie, spojrzałam na sklep.

Karolka nie spostrzegła mnie. Myślała zresztą, iż wyszłam już przed paroma minutami.

Całowała się z dziesiocioletnią może dziewczynką, bardzo do niej podobną, biednie, ale czysto ubraną. Poprawiła jej włosy, naprostowała fartuszek, trochę w bok przekrzywiony i, wyjąwszy z kieszeni portmonetkę, dała jej cały dziesięcio-rublowy papierek, który z rana dostała ode mnie jako miesięczną pensyę— mówiąc: „Zapłać z tego Maciejowej za swoje mieszkanie i życie; zostaną się jeszcze dwa ruble. Kup za jednego Władkowi bułek, serdelków i zanieście mu to we środę, jak tam pójdziecie z Józkiem. Drugiego rubla daj Józkowi: on też nie ma co jeść..."

Widząc, iż poruszyła się, aby, prawdopodobnie, zasunąć drzwi za mną na rygiel, wymknęłam się niepostrzeżenie.

Wieczorem zapytałam jej: „czy masz braci i siostry?

— Mam jedną siostrę i dwóch braci — odpowiedziała mi.

— A cóż robią?

Rozpłakała się, nic nie odrzekłszy.

W drugim miesiącu jej u mnie pobytu zauważyłam, że młody a ładny chłopak uwija się często — zwłaszcza wieczorem — przed sklepem. Ona, zobaczywszy go, wychodziła zawsze na chwilę, porozmawiała z nim trochę; następnie żegnali się: on całował ją w rękę, ona wracała do roboty.

Powiedziała mi w kilka tygodni sama, niepytana, że to jej narzeczony, że kochają się od trzech lat, ale nie mają żadnej nadziei pobrania się, gdyż oboje są biedni.

Czułam, jak ciężko jej było mówić o sobie.

Któregoś dnia zrobiłam jej wymówkę, że jest mało szczera względem mnie. Odpowiedziała mi na to:

— Od dziecka byłam sama. Przyzwyczaiłam się nie mówić. Nikt mnie nigdy o nic nie pytał; nikogo nie obchodziłam. Teraz, czasami, chciałabym coś powiedzieć i nie mogę: słowa więzną mi w gardle.

Pocałowała mię w rękę i dodała, bąkając z trudnością:

— Ale ja nie jestem zła; proszę mi wierzyć.

Słyszałam tej nocy, jak płakała długo i przewracała się, nie mogąc zasnąć.

Coraz bardziej zaciekawiała mię ta dziewczyna: co jej mogło być? dlaczego tak często płakała?

Zapowiedziałam jej, żeby z narzeczonym nie wystawała nigdy na ulicy. W niedzielę kazałam mu przychodzić do siebie na górę: zostawiałam ich często samych, wychodząc do drugiego pokoju.

W dzień powszedni, czasami, wieczorem, gdy miał chwilkę wolną, wpadał do sklepu i porozmawiawszy z nami trochę, uciekał napowrót do roboty.

Był subjektem w sklepie korzennym, naprzeciwko Antoniewiczów. Karolka zabiegała tam czasami, aby zmienić papierowe ruble na drobne: stąd się poznali.

Gdy zaczął przychodzić do mnie na górę, nieraz słyszałam z drugiego pokoju, jak marzył głośno o tem, że kiedyś on i Karolka muszą się dorobić pieniędzy, a wtedy założą sobie mały sklepik, pobiorą się i razem będą pracowali.

Ona nie wtórowała jego planom. Siedziała pochylona nad szydełkową robótką: war-

Szalone te amazonki odbierają nam chleb, czemże wyżywić mamy żony nasze i dzieci? Logika emancypowanych odpowiada na to: „Skoro kobieta sama się utrzymuje, wówczas odbiera mężczyznie sposobność do zarobkowania; skoro przez mężczyznę bywa utrzymywaną, wówczas odbiera mu to, co zarobił.“ Okazuje się więc, że poezya, przyoblekająca dziś kobiety, w znacznej części jest poezyą zbójecką.

Lecz emancypacya kobiet dąży nietylko do materyalnego uniezawiślenia kobiet pracujących. Chodzi także o oswobodzenie wewnętrzne; niechaj padnie powaga mężczyzny, a i panowanie jego runie. Kobieta powinna uświadomić sobie, że należy do samej siebie i że zbliżyć się może do przyrody bez pośrednika. Źle ocenia wpływ emancypacyi na uczucia ten, kto ją pojmuje wyłącznie jako kwestyę żołądka. Skoro zmniejszy się ilość owych małżeństw, które nakształt półkul magdeburskich, próżne wewnątrz, zewnętrznym naciskiem tylko są spojone, miłość żadnej szkody nie poniesie. Kobieta, która przestała szukać „obowiązku i pociechy“ w posłuszeństwie dla surowego małżonka, kobieta, posiadająca duszę wolną i myśli wielkie, nie wyrzecze się bynajmniej ani szczęścia, ani nadziei, że spotka duszę równie nastrojoną: owszem, szuka duszy takiej i pracuje nad sobą, aby stać się jej godną. Mill, Feuchtersleben i Tocqueville — których autorka nazywa klasykami małżeństwa — w słowach i dziełach swych wznieśli pomnik dla związku z kobietą równą i wolną. Nie od wiecznie kobiecego typu odwodzi emancypacya kobiety, jeno od typu doczesno-kobiecego. Celem jej — stworzyć świat nowy, lepszy, w którym poeci nowego kierunku tyle znajdą źródeł zachwytu i natchnienia, ile dawni lirycy znajdowali w świecie dawnym. Kobieta, usamowolniona ekonomicznie, nie będzie czuła się poniżoną pod dachem męża; a nie powinna się ona obawiać, iż utraci wdzięk: niechaj pamięta o słowach Goethego: „Nur aus vollendeter Kraft blicket die Anmuth hervor.“ (Tylko ze skończonej siły przegląda wdzięk).

W mieście, w którem tak dzielna powstała orędowniczka emancypacyi kobiet, na jednem tylko polu geniusz niewieści istotne święci tryumfy: na scenie. Ostatnimi czasy żywo zajmowały publiczność wiedeńską, a zwłaszcza koła słowiańskie, występy panny Pospiszil, czeszki, w Burgtheatrze. Znana ona jest warszawianom. Wstąpiwszy w siedemnastym roku życia na narodową scenę czeską, niebawem, ulegając wpływowi dyrektora niemieckiego teatru praskiego, Neumanna, przeszła na niemiecką i zaangażowaną została przez pierwszą w Niemczech scenę, „Deutsches Theater“ w Berlinie. Powodzenie jej tam było tak wielkie, że nowy dyrektor Burgtheatru, Burckhardt, zwiedzając teatry niemieckie, zamówił ją do Wiednia, nie czekając rezultatu próbnych jej występów. Panna Pospiszil grała w Burgtheatrze cztery wielkie role, a dzięki licznemu udziałowi publiczności czeskiej, zbierała każdym razem oklaski frenetyczne. Co więcej, i krytyka odzywała się o niej wcale pochlebnie i krok dyrektora pochwaliła: a jednak, sądząc bezstronnie, bynajmniej tak wielkich zalet w grze aktorki czeskiej upatrzyć nie możemy. Być może, że przyzwyczaiwszy się do publiczności wiedeńskiej, rozwinie ona właściwą, wdzięczniejszą indywidualność artystyczną: na występach próbnych grała według znanych szablonów tutejszych, wskutek czego, rzecz jasna, z słynnemi twórczyniami tych szablonów współzawodniczyć nie mogła.

Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

KARTKA Z DZIEJÓW FANATYZMU I BEZRZĄDU.

Fakt wypędzenia aryan jest powszechnie znany. Uchwałę, która piętnem hańby szpeci kartę naszych dziejów, oparto na „edykcie wileńskim,“ lekceważąc zarówno przywileje podstawowe z epoki Władysława Jagieły, jak usankcyonowaną dla szlachty prawem kardynalnem, zasadę wolności wyznania. Gromada antytrynitarzów polskich, między którymi błyszczą mniej lub więcej słynne imiona Gosławskich, Lubienieckich, Morsztynów, Moskorzewskich, Niemiryczów, Przypkowskich, Szlichtingów, Sierakowskich, Wiszowatych — wydziedziczona, rozproszyła się po Holandyi, Niemczech, Prusach, Szlązku, Węgrzech i Siedmiogrodzie. Odtąd „regestr arianismi“ grozi wszystkim „niedowiarkom.“ Gdy już tłum tysiącogłowy, bez protestu sumienia narodowego, owszem — przy odgłosie fanatycznej lutni Wespazyana z Kochowa („Wender, wender, aryany, wnukowie Belzebuba...“), na sromotne wygnanie i nędzę skazano, cóż mogło być warte życie jednostki, obwinionej o „zbrodnię ateizmu“?..

Przeglądając dalsze roczniki wybujałej reakcyi katolickiej, posępnem wejrzeniem witamy, zamgloną do połowy, postać Kazimierza Łyszczyńskiego. O atmosferze rodzinnej i stosunkach towarzyskich myśliciela, okrutnym a ślepym wyrokiem współziomków potępionego, prawie nic nie wiadomo. Drobny ułamek podjętych przezeń a znacznych podobno prac pisarskich, dziełko piętnastoarkuszowe, stanowiące komentarz nad książką Altsteda, kalwinisty (*Theologia naturalis*) spłonęło bez śladu na stosie. Stracony d. 30 marca 1689 r., na rynku staromiejskim w Warszawie, nie przekazał nam wiernej podobizny ani swego umysłu, ani charakteru i serca. Sprawozdania rozliczne przeczą sobie nawzajem i cząstkowo tylko odtwarzają zgasłą dawno rzeczywistość. Kształcąc się u jezuitów, Łyszczyński niepospolite za młodu zdradzać miał zdolności. Wstąpiwszy do zakonu Lojoli, pełnił przez jakiś czas obowiązki nauczyciela w kolegium; ale zanim otrzymał ostatnie święcenia, zrzucił habit i ożenił się. Piastował on godność podsędka brzesko-litewskiego. Powoływany był nadto przez współobywateli różnymi czasy na stanowisko deputata trybunału i sekretarza w sądzie asesorskim. Cieszył się tedy popularnością — miał przyjaciół i zwolenników. Nikczemny Jan Brzoska, stolnik bracławski należał niegdyś do ich grona. Zaczepiony o zwrot długu, wystąpił w charakterze wroga-oskarżyciela, przed Brzostowskim, biskupem wileńskim, składając rękopis, jako dowód... zbrodni. Altsted, w swej *Teologii naturalnej* stara się przekonać swych czytelników o bytności Boga; Łyszczyński, uderzony słabą argumentacyą, zbija dowód po dowodzie i dochodzi do wniosku: „Ergo non est Deus“ (A więc niema Boga). Gorliwy pasterz odwołał się niebawem do miejscowej akademii, z żądaniem oceny zakonnikowanego dzieła. Wszechnica jezuicka potępiła autora. Uwiadomiony o tem przez

---

gi jej trochę drżały; marszczyła brwi i ściągała powieki, jak gdyby chcąc powstrzymać łzy, napływające do oczu.

Kilka razy doszło uszu moich nazwisko Majewskiego, pryncypała Stanisława, które, mówiąc ze sobą, wymieniali często.

Musieli się oboje zżymać na niego, gdyż Stanisław, rozprawiając o nim, giestykulował szybko, pełen oburzenia i najczęściej w końcu, zerwawszy się z krzesła, biegał hałaśliwie po pokoju. Karolka zaś dostawała silnych wypieków; oczy jej błyszczały; usta wykrzywiał wstręt, którego nie umiała pokryć.

Gdy wchodziłam, milkli, albo też zaczynali rozmawiać o czem innem.

Kiedyś, Stanisław, który był szczerszy i wymowniejszy od Karolki, zwrócił się do niej i rzekł:

— Powiemy pani wszystko!..

Ona odparła szybko:

— To później, później!.. Na co rozmawiać takie rzeczy?..

Wyszedłszy w tej chwili po coś do sieni, usłyszałam, jak dodała:

— Może też już raz da mi święty spokój!

Do czego się te słowa odnosiły — nie wiedziałam.

Nieraz miałam chęć zapytać o to Stanisława i wogóle pomówić z nim trochę o Karolce podczas jej nieobecności; nigdy jednak nie złożyło się tak, aby on przyszedł do mnie wtedy, kiedy jej nie było.

W dzień powszedni siedziała ciągle w sklepie, wychodząc zaledwie raz na tydzień do miasta po niektóre zakupy. W niedzielę z nabożeństwa wstępowała do siostry i wracała natychmiast do domu, poczem już jej nie oglądałyśmy się.

Ponieważ kiedyś oznajmiłam jej, iż wiem, na jaki cel przeznacza miesięczną swoją pensyę, przestała się ukrywać przede mną. Stefka przy mnie wchodziła do sklepu co pierwszego i brała od siostry dziesięć rubli.

Ostatniego miesiąca mała szepnęła jej do ucha tak jednak, iż ja to mimowolnie usłyszałam: „Władek już wyszedł i chce pieniędzy...“

Kazała jej przyjść nazajutrz i wsunęła jej coś w rękę.

Spostrzegłam tego dnia, iż nie miała w uszach małych, złotych kolczyków, jedynej pamiątki po matce, z którymi się nie rozłączała.

Odtąd Stefka coraz częściej wpadała do sklepu, szepcząc jej coś do ucha.

Ona ją wypraw iała—z czem? Nie wiem, bo nie mogłam zauważyć. Słyszałam tylko, jak Karolka powtarzała siostrze zawsze: „niech Władek tu nie przychodzi.“

Ostatniej niedzieli przed śmiercią jej — w chwili, kiedy po kościele poszła do Stefki, u której tym razem zabawiła dłużej, niż zwykle — zastukał do mego mieszkania niemłody już, lecz tęgi i zdrowo wyglądający mężczyzna. Gdy otworzyłam mu drzwi, przedstawił mi się jako Majewski, właściciel sklepu korzennego z sąsiedniej ulicy i poprosił o chwilę rozmowy.

Wskazałam mu krzesło.

Usiadł, przybierając minę surowego sędziego.

Oczy miał małe, chytre, pełne kocich błysków, fałszu i przebiegłości.

Nie znosiłam jego wzroku; nie mogłam patrzeć wprost na niego, jak na innych ludzi, z którymi rozmawiałam. Wydał mi się od pierwszej chwili bardzo nieprzyjemny; pomimo to nie mogłam oprzeć się ciekawości wysłuchania go.

Chrząknął kilka razy, poprawił się na krześle i, zacierając czerwone, muskularne ręce, zapytał:

— Wszak obecnie u pani dobrodziejki sklepową jest panna Karolina?

— Tak, panie — odparłam.

— Czy pani wie, dla jakich przyczyn opuściła dawne swoje miejsce, a raczej dla jakich przyczyn zmuszono ją do opuszczenia go?

— Nie, panie.

— Otóż właśnie przyszedłem, aby ostrzedz i objaśnić, jaką osobę pani dobrodziejka do domu swego przyjęła. My, kupcy, stanowimy jedno wielkie ciało, które powinno solidaryzować się wzajemnie...

Po tym wstępie przeszedł do opowiadania.

(D. c. n.)

Cecylia Walewska.

Brzostowskiego król, Jan III kazał hetmanowi wielkiemu litewskiemu, Kazimierzowi Pawłowi Sapieże, stawić nieszczęśliwca, za pomocą siły zbrojnej, przed sąd biskupi. Uznano go winnym „obrazy majestatu bożego" („crimen laesae majestatis divinae"); ale na szczęście znalazł się zacny obrońca—podkomorzy brzesko-litewski, który wniósł protestacyę do grodu, w imię zasadniczego przywileju: „neminem captivabimus..." Trybunał ujął się za wolnomyślnym herbowcem: wyrok sądu biskupiego unieważniono, a sprawę odesłano do sejmu. Następuje całoroczna niemal zwłoka. Wiec grodzieński spełzł na niczem, zerwany w marcu 1688 r., jeszcze przed elekcyą marszałka. Mniemany ateista, żyjąc podówczas na wolnej stopie, nie próbował nawet ratować się ucieczką; co dziwniejsza — w kwietniu tegoż roku odbył spowiedź i przyjął komunię. Nadeszła wreszcie fatalna chwila: w grudniu 1688 r. odwieziono go pod strażą do Warszawy, gdzie właśnie nowy sejm się zbierał. Tu fanatyzm, łącznie z zawiścią osobistą, odniósł huczny a krwawy tryumf nad prawem i rozumem. Daremnie Łyszczyński objaśniał, że rozpoczęta przez niego praca składać się miała z dwu części: z negatywnej, w której zbijał słabe, i z pozytywnej, gdzie zamierzał przedstawić gruntowne dowody istnienia Boga; napróżno go bronił, treściwemi a wymownemi słowy, nieznany z imienia i nazwiska adwokat. Prymas, Michał Radziejowski domagał się strasznej kary — skonu w płomieniach; pragnieniem wstrętnego autoda-fé dyszał również fanatyczny głos Andrzeja Chryzostoma Załuskiego, biskupa kijowskiego. Szala zwycięztwa przechyliła się na stronę wrogów pseudo-ateusza tak dalece, że jeden tylko z pośród sędziów zażądał... odesłania sprawy do Rzymu. Rzecz dziwna i bolesna: bohater z pod Wiednia, światły mąż w koronie, przewodniczący sejmowi, bierną zachowywał postawę wobec dokonywanej na Łyszczyńskim zbrodni publicznej. Uprościł on ją tylko w ostatniej chwili, zgodnie z pokorną prośbą skazańca, zamieniając wzniesiony już przez kapłanów Chrystusowych stos — na miecz kata. Majątek po straconym przeszedł w połowie na skarb, w połowie na rzecz nędznika Brzozki, z uwzględnieniem jednak praw żony, która (podobnie jak i córka zamężna) wcale się na widowni dziejowej nie ukazuje. Teorye filozoficzne Kazimierza Łyszczyńskiego, nader słabo w sprawozdaniach obcych odbite, uleciały ku niebu, wraz z dymem ogniowym, któremu towarzyszyła może jaka modlitwa o lepszą dla myślących dolę. Miał on być autorem nietylko owej nieszczęsnej 15-arkuszowej pracy, ale nadto „całych woluminów" (jak głosi biskup Załuski) w podobnym duchu skreślonych. Nie przyznawał się do ateizmu; pewną wszakże jest rzeczą, że poglądy jego zostawały w sprzeczności z katechizmem: „In omni genere entium datur eus perpectissimum. Exempli gratia: in genere astrorum datur ens perfectissimum, quod es sol; in genere animatium datur ens perfectissimum, quod est homo; in genere entium intellectualium datur ens perfectissimum, quod est Deus." Za dowód istnienia Boga służy mu tedy zamieniona w dogmat hipoteza: *w każdym rodzaju istot znajduje się jakiś okaz najdoskonalszy.* Czem słońce między gwiazdami, a człowiek pośród mnogiego stworzeń organicznych tłumu, tem — Bóg w rzędzie bytów umysłowych. Czemże więc on jest? — najwyższem pojęciem, najwznioślejszą ideą; ale w jakim stosunku zostaje do innych szeregów bytowych: czy je rodzi, czy też z nich wypływa, trudno odgadnąć. Niecny Brzozka w manifeście swoim tak oświetla teorye metafizyczne Łyszczyńskiego: „O wściekła, zajadła i szalona zapamiętałości ludzka! Jeśli gdzie, tuś pokazała, że erudita mens amentiam gignit (uczony umysł rodzi szaleństwo), przez którą do czegoś przyszła, kiedyś Boga z nieba i z całego okręgu ziemi i majestatu jego wypchnąwszy, chimerę jakąś, owo *ens* czyli *fatum* na niebie zasadziła, a *wszystko stworzonej naturze et perpetuae jej conservationi bezrozumnie przypisała!*" Potępieniec z r. 1689 był bezwątpienia osobą, stojącą wysoko ponad poziomem współczesnej szlachty polskiej. Nie poprzestawał na karmi duchowej, dostarczanej przez wileńskich czy krakowskich luminarzów, a pilnie chwytał, z dalekiego zachodu płynące odgłosy. Zarzuca mu bowiem Brzozka „czytywanie książek od kościoła bożego zakazanych, przez różnych ateistów, ex typo infernali samego Lucypera, wydanych gdzieś za morzem." Nie należał on do molów bibliotecznych, co „światło kryją pod korcem"; przeciwnie, starał się je słowem i pismem krzewić pośród swego otoczenia. „Wpływ zgubny" nieszczęśliwej ofiary fanatyzmu zaakcentowano ze szczególną dobitnością. Znał prawdopodobnie i Kartezyusza i Spinozę. Gdyby nie szerzyciele ciemnoty, z takimi, jak Brzozka, opryszkami sprzężeni, kto wie — możebyśmy się już przy schyłku wieku XVII myślicielem znakomitym poszczycić mogli, a siew, przez niego rzucony, nie upadłby na skałę... Losy wszakże inaczej zrządziły. Kazimierz Łyszczyński pośród danych ram czasu i miejsca nie mógł mieć powodzenia, nazbyt bowiem śmiele w sferze praktycznej przeciwstawiał się jezuityzmowi, głosząc np. między innemi, że członkowie i sprzymierzeńcy zakonu dla własnego pożytku piekłem i czyśćcem lud pospolity straszą. Charakter moralny nieszczęśliwego apostoła, podobnie jak i umysłową jego potęgę szara kryje zasłona. Podczas procesu chwieje się on nieco i łamie; ale któż odgadnie, jakie tam czynniki, oprócz wiadomych, w grę powikłaną wchodziły, jakie bicze smagały znękaną duszę skazańca...

(D. n.).

A. G. Bem.

TEORYA PRZESTĘPSTWA POLITYCZNEGO

(LOMBROSO i LASCHI).

II. Strona antropologiczna i psychologiczna.

Antropologia przestępstwa politycznego stanowi najcenniejszą część rozbieranego dzieła. Zawdzięczać to należy bardzo wielu przyczynom. Przedewszystkiem przedmiot sam nie przedstawia tak znacznych trudności, jak należyte zanalizowanie sprężyn ruchu politycznego, zwłaszcza gdy bierzemy się do rzeczy z takiem uprzedzeniem przeciwko niektórym czynnikom (np. ekonomicznym), jak to czyni Lombroso, stawiający istnienie antagonizmów klasowych bodaj czy nie na jednym poziomie z wpływem pokładów geologicznych! Powtóre, badacze nasi mieli już na tem polu wielu poprzedników i bogaty do rozporządzenia materyał. Komuna np. doczekała się mnóstwa podobnych ocen. Można tu wskazać na dzieła, w rodzaju—Laborde'a: *Ludzie i czyny buntu paryskiego przed sądem psychologii chorobowej*, du Campa: *Konwulsye Paryża* i in. Autorowie *Przestępstwa politycznego* podzielają właściwe tym uczonym oburzenie względem komuny paryskiej i wszystkie ich dane bez zastrzeżenia przyjmują. Gdy mowa zresztą o antropologicznym charakterze jakiegoś poruszenia, należy pamiętać, że mimo pierwiastków najrozmaitszej natury, w każdym niemal napotykanym wybuchu barwę istotną nadaje mu dopiero stosunek ich procentowy. Sam ten stosunek, dodajmy, wyglądać może tak lub inaczej, odpowiednio do charakteru burzy społecznej. Porównajmy np. dawny ruch polityczno-włoski, dążący do oswobodzenia i zjednoczenia kraju, z komuną paryską. Na 1,159 bojowników, walczących za swobodę Włoch, których statystykę zawodową Lombroso i Laschi zebrali, urzędnicy i wojskowi stanowią 40%, przedstawiciele profesyj wyzwolonych 22%, robotnicy 4%; tymczasem pomiędzy 81 przewódcami komuny mamy 43% robotników, 34% z pośród profesyj wyzwolonych, 3½% urzędników i z pomiędzy warstw posiadających. Jak widzimy, społeczny charakter obu ruchów jest nader różny, że już nie mówimy o tem, iż pierwszy szedł drogą spiskową i jego przedstawiciele byli wybierani przez wrogów zwolna, wówczas gdy drugi był gwałtownym wybuchem rozpaczy. I właściwości antropologiczne tych poruszeń są bardzo odmienne, jeśli można wierzyć przytaczanym świadectwom. Według tabliczki statystycznej naszych autorów, z pośród 521 męczenników sprawy włoskiej 87% posiadałoby rysy twarzy zupełnie normalne, 12% wykazywałoby różne anomalie i piętna zwyrodnienia i wreszcie tylko 0,57% nosiłoby znamię typu zbrodniczego. Tymczasem wśród 50 badanych fotografij komunistów (w jaki sposób zebranych?) 46% posiada twarz normalną, 23% anormalną, 12% zbrodniczą i 10% obłąkańczo-idyocką; pomiędzy 41 anarchistami, badanymi w prefekturze policyi paryskiej, typy zbrodnicze stanowią już 31%, półzbrodnicze 19%. Przypuśćmy, że te dane są prawdziwe. Charakter antropologiczny zbrodnictwa politycznego zmieniałby się zatem w zależności od jego dążeń społecznych i sam ruch każdorazowo byłby szczególnym doborem wśród społeczeństwa. Otóż wszelka antropologia przestępstwa politycznego, jeśli ma dawać istotny a rzeczywisty obraz, winna oprzeć się na wskazanej podstawie statystycznej, uwzględniającej wszystkie wymienione warunki. A tymczasem nadaremnie poszukiwalibyśmy coś podobnego u naszych autorów, gdyż przytoczone powyżej tabliczki stanowią niemal wszystko, co uczynili w tej mierze, i samą analizę antropologiczną w danej kwestyi sprowadzili do wykazywania, że spotyka się typy najrozmaitsze u przestępców politycznych: urodzonego zbrodniarza, obłąkańca, mattoida i in. Poszukiwania otrzymały wskutek tego zamiast czysto-naukowego charakter nieco anegdotyczny, z wyjątkiem rozbioru zbrodni politycznej pod względem udziału w niej osób różnego wieku i płci. W pierwszym zwłaszcza przypadku autorzy *Przestępstwa politycznego* usiłują dać czytelnikowi możliwie ścisły i dokładny obraz statystyczny. Z przytoczonych faktów widać, że wiek młodzieńczy jest okresem życia, dostarczającym najwięcej procentowo przestępców politycznych. Wiele przyczyn składa się na to. Pobudliwość i wrażliwość, względnie mała samodzielność, znaczny zań popęd naśladowniczy, nieopatrzność, wreszcie niczem niepowstrzymywane popędy altruistyczne, wszystko to osłabia wrodzony człowiekowi mizoneizm i z wieku młodzieńczego czyni główne przedmurze zgiełku społecznego. Młodzież to stanowi kadry bojowe zbrodni politycznej. Wśród 152 irrydentystów włoskich, których biografie znajdujemy u d'Ayala, 32% było w wieku lat 15—30, 31% — 30—40, i zaledwie reszta przekroczyła tę ostatnią granicę; wśród 183, którzy padli w boju i których wiek tenże autor podaje, 32% było w latach 15—20, 39% zaś — 20—30. Młodzież zwykle jest tylko armią bojową, kto inny zaś obejmuje kierownictwo; lecz i sami przewódcy względnie są jeszcze młodzi. Ten stosunek wieku szeregowców i wodzów przewybornie można badać u komunistów. Pomiędzy 76 członkami komuny (władzy), których wiek znamy, 26% znajdowało się dopiero w latach 20—30, 31% zaś liczyło 30—40. Tymczasem wśród 651 szeregowców wybuchu, wziętych z bronią w ręku na ulicach Paryża, 36% znajdowało się w wieku lat 16, 34% zaś — 14! Podobnie młodym jest wiek tegoczesnych anarchistów. Wśród obwinionych w procesie Montceau-les-Mines 24%

liczyło lat 17 — 20, 27% — 20,25 i tylko 6% miało więcej nad 30; w procesie medyolańskim 34% było w wieku lat 20 lub niżej. Natomiast kobieta przyjmuje udział względnie nieznaczny. Nasi autorzy rozwijają z tego powodu swoją teoryę mizoneizmu w zastosowaniu do płci żeńskiej. Usiłują dowieść, że jest ona wogóle nieobecną we wszelkich ruchach istotnie postępowych, a odznaczając się większym wstrętem ku nowości, niż mężczyzna, uparcie trzyma się dawnych zwyczajów. Występując jako uczestniczka zbrodni politycznej, kobieta odgrywa rolę podrzędną i jest raczej jedynie narzędziem w ręku mężczyzny. I nie idea, lecz uczucie popycha je po tej drodze. Przestępczyni polityczna jest zwykle kochanką i z tego powodu bywa najczęściej zawieruszona w sprawę polityczną. Lecz wogóle występuje rzadko; w ruchu np. włoskim wynosi ledwie 1,55%. Częściej ukazuje się jedynie w rewolucyi chrześciańskiej, jako męczenniczka, gdzie przyjmuje udział w olbrzymim stosunku 40%. Uczucie ją rzuciło do ruchu, podobnie jak w r. 1789, gdzie jednakże główną odgrywała rolę podczas ulicznych rokoszów i buntów. Zresztą udział kobiet jest niewielki, o ile chodzi tylko o rewolucyę postępową; w zwykłych zaburzeniach, gdzie mizoneizm niewieści nie jest drażniony obecnością jakiejkolwiek idei, występują one bardzo obficie i często stanowią główną siłę ruchu, nadając mu charakter szczególnej zwierzęcości i rozpasania.

Widzieliśmy, że wśród ruchu włoskiego za niepodległość 12% wykazywało oznaki zwyrodnienia, 0,57% przedstawiało typ zbrodniczy; wśród anarchistów zaś „urodzeni" zbrodniarze i półzbrodniarze stanowią niby do 50%. Otóż *Przestępstwo polityczne* zajmuje się głównie, jeśli nie wyłącznie, takiemi nienormalnemi postaciami. „Przypadkowym" przestępcom politycznym, tj. tym „normalnym" ludziom, którzy nigdy nie stargaliby pęt bez szczególnych powodów i nie wystąpiliby przeciw władzy, autorzy poświęcają zaledwie kilka stronic, jako odgrywającym małoznaczną rolę szeregowców i zajmują się tylko wodzami, względem których podzielają zdanie Dantona, że ostatecznie władza w rewolucyi przechodzi do rąk największych zbrodniarzów. Jedynie wyjątkowe osobistości w społeczeństwie mogą wyzwolić się z pod wpływów mizoneizmu: zbrodniarze urodzeni, różni obłąkańcy i maniacy, histero-epileptycy w swoich odmianach — od genialnej i altruistycznej do popędliwo namiętnej — mattoidzi. Oni też stanowią czoło zastępów przestępczo-politycznych. Znaczenie tych rozmaitych typów antimizoneistycznych w zbrodni politycznej jest nader odmienne. Są ruchy, w których ukazują się jedynie niektórzy z pośród nich; są inne, gdzie współdziałają różne, lecz zawsze określonej natury postacie. Geniusze — te zdaniem Lombrosa szczególne postacie epileptokształtne, występują głównie w drganiach postępowo-rewolucyjnych. Natura ich, której godłem są słowa Garibaldiego: *amo l'ignoto*, zawsze wyrywa się z więzów teraźniejszości i łaknie wzorów nieznanych. Nawet u geniuszów mizoneizmu, jak Bismark, Metternich, Ignacy Lojola, zamiłowanie staroczesności plącze się z pożądaniem nowego w dziwny sposób. Nieobecność geniuszu w rokoszach jest stanowcza i mattoidzi zajmują ich miejsce. Ten ostatni typ posiada zwykle rysy prawidłowe, wyróżnia się od zbrodniarza urodzonego mniejszym niedorozwojem zmysłu moralnego, od obłąkańców — brakiem nadmiernej pobudliwości lub dziedzictwa chorobliwego. Znaczny altruizm i popęd nowatorski; niezmierna wstrzemięźliwość w piciu i jedzeniu; obfitość prac i druków, w których powtarzają stereotypowo to samo zdanie, wypowiadając je za pomocą dziwacznych słów, uganiając się za szczególnemi wyrażeniami i porównaniami nie na podstawie znaczenia, lecz brzmienia wyrazów i wprowadzając cudackie pomysły i tytuły. Czasami mają genialne idee, lecz przybierają je w strój błazeński. Ofiarność i ruchliwość czynią z nich przywódców niezadowolenia, lecz niech tylko uśmiechnie się powodzenie, w tej chwili błazen lub obłąkaniec wychodzi z pod dotychczasowego opozycyonisty. Większość ruchów religijno-politycznych jest dziełem tego rodzaju ludzi; wodzowie anabaptystów, Lazaretti, prajojciec mormonizmu, wszystko to są mattoidzi. Cola da Rienzi przedstawia wybitny przykład ludzi tego typu; w głowie jego zrodziła się po raz pierwszy genialna myśl zjednoczenia Włoch; lecz kiedy dzięki rokoszowi ludowemu doszedł do władzy, oddał się cały pomysłom pajackim: przywdziewał szczególne stroje, przybierał dziwnie brzmiące tytuły, nic nie czyniąc po za tem. Szczególnie liczni są dzisiaj mattoidzi-prześladowcy. Jest to osobnik zwykle cierpiący na serce i wątrobę, z wyczuloną wrażliwością i pobudliwością, obojętny na cierpienia innych, póki jego własne „ja" nie zostanie zadraśnięte — wtedy zaczyna bronić „uciemiężonych." Każdy, kto nie wysłucha jego głosu i kogo on nie zdoła przekonać, staje się rzekomym prześladowcą; mattoida niby broni się przeciw niemu, a wciąż go napastuje. Liczne zamachy polityczne przeciw osobom wychodzą właśnie od tych półobłąkanych prześladowców. Guiteau lub Passanante mogą służyć jako wzory przewybornie; bliższych sylwetek tu nie kreślimy, gdyż czytelnik je znajdzie w przełożonym na język polski *Geniuszu i obłąkaniu*. Niemniej często wśród przestępców politycznych można napotkać różnego rodzaju epileptyków. Mamy tutaj najodmienniejsze postacie, od altruizmu histero-epileptycznego, tak świetnie przedstawionego u Dostojewskiego w jego *Idyocie*, aż do epileptyka z popędami ludożerczymi. Rzecz godna np. uwagi, że wszyscy najkrwawsi i najokrutniejsi dyktatorzy rzeczypospolitej Argentyńskiej byli epileptykami i alkoholikami. Weźmy chociażby Rosasa. Obłąkaniec zmysłu moralnego, dziecko histeryczki, posiadał wszystkie znamiona zbrodniarza urodzonego i już w najmłodszych latach zaprawiał się na zwierzętach do późniejszego zdzierania skóry żywcem ze swych wrogów politycznych. Do podobnych natur należy zaliczyć wielu condottierów średniowiecznych aż do ostatniego ich ogniwa, Napoleona I. Obok epileptokształtnych natur wypadałoby pomieścić przestępców politycznych z namiętności. Nadmierna pobudliwość wraz z wysokim stopniem umysłowości już od lat wczesnych rzuca ich na drogę gwałtownego protestu. Entuzyaści, nie chcą zrozumieć, iż postęp kroczy jedynie z żółwią powolnością. Są to najczystsze i najsympatyczniejsze postacie z pośród zastępu przestępców politycznych. Karolina Corday, Karol Sand należą tutaj. Entuzyazm przybiera często formy nieco chorobliwe, jak u Orsiniego. „Orsini z zasady mówił rzadko i ostrożnie, lecz ożywiając się, wyrzucał potoki słów z niezmierną łatwością i w silnem podnieceniu. Całe życie swoje oddał na usługi ojczyznie, lecz trwonił je w sposób mało pożyteczny. Myśl u niego szła zawsze dopiero po czynie. Łaknął działalności za wszelką cenę i mimo największego niebezpieczeństwa; rzucił się też w najszaleńsze grupy mazzinistów. Jego nieopatrzną pobudliwość w końcu potępiali nawet ci, którzy go wciągali do czynu; doszło do tego, że mazziniści, kiedy mówili o niedorzecznem i bezmyślnem miotaniu się, używali przysłowia: istny Orsinizm!" Wśród tego odłamu można zauważyć czasami silny popęd samobójczy i sama zbrodnia zjawia się w zastępstwie samobójstwa. Wreszcie idą rozmaici obłąkańcy, od typów mattoidzkiego do zbrodniczego. Zupełnie lub częściowo stargana równowaga umysłowa aż do braku wielkiego hamulca, wygórowane pojęcie o znaczeniu własnej osoby, myśl bezustanna o zamachach prześladowczych ze strony czyjejś, w gruncie rzeczy jedynie wymyślonych, silna wymowa z nieobecnością powściągów mizoneistycznych, wszystko to sprzyja silnemu ich uczestnictwu w zbrodni politycznej. Zajmują oni często pokaźne miejsce w historyi, jak np. Savanarola. W *Przestępstwie politycznem* skreślono panowanie obłąkańca Masaniello nad Neapolem, który jako istotny szaleniec przebiegał opanowane miasto z obnażoną szpadą, raniąc przechodniów, to skazywał na śmierć bez powodu, to wydawał rozporządzenia najdziwaczniejsze. Zresztą różne rodzaje obłąkania odgrywają odmienną rolę. Marat służyć może za przykład szału zabójczo-prześladowczego i zarazem stanowi przejście do zbrodniarza kryminalnego, takiego, jak Hebert. Zbrodniarz urodzony już w postaci odpowiednich rysów charakteru, to znowu z uprzednim wykazaniem swych popędów, uczestniczy stale w przestępstwie politycznem; w zamachu Orsiniego zamieszano np. trzy osoby, sądzone za kradzież. Badacze włoscy ze szczególną przyjemnością uposażają w podobnego rodzaju działaczów ruchy anarchistyczne i wogóle antimieszczańskie, zawierzając w tym razie niekiedy bardzo niepewnym opowieściom i świadectwom. Czyjeś zapewnienie, że Most, znany anarchista niemiecko-amerykański posiada wydatne szczęki i szczególne spojrzenie, wystarcza im do uważania go za typ kryminalistyczny! Zresztą nie myślimy zaprzeczać znacznej obfitości wśród anarchistów postaci kryminalistycznych, jako też wogóle nienormalnych. Ruch ten, odrzucając wszelką organizacyę i karność partyjną, a raczej rozbijając partyę na mnóstwo samopas chodzących jednostek, widząc w ustroju społecznym jedynie spisek warstw uprzywilejowanych, który można rozbić jednem gwałtownem uderzeniem, jest jakby przytułkiem najrozmaitszych newropatów. Gwałtowne temperamenty, niezadowolone z dnia dzisiejszego, a czujące odrazę ku ewolucyjnej nieco a mozno karnej taktyce społeczno-demokratów, natury wrażliwe, które nie mogą znieść swej względnej niemocy społecznej, nieuki, niepojmujący istoty społeczeństwa, słowem wszelka histerya czynu wsiąka tutaj. Krytyka dzisiejszego porządku przenika w te odłamy wydziedziczonych, które noszą w języku niemieckim specyalną nazwę: *Lumpenproletariat*, a są złożone z kryminalistów, prostytutek z ich męską drużyną, włóczęgów i przyjmuje tutaj naturalnie odpowiednią formę. Grupy te, odrzucane przez organizacye robotnicze, zwracają się ku anarchizmowi. Histerya poświęcenia z wrodzoną zbrodniczością plącze się też w anarchizmie na każdym kroku, wchłaniając w dodatku w siebie jeszcze różne manie nieuctwa. Oto jeden z takich typów. Epileptyk, pochodzący z rodziny maniaków, od młodych lat oddający się samogwałtowi, opój, nie czyta żadnych gazet, bo mu to sprawia zawrót głowy; jego ideał społeczny zawiera się w żądaniu, aby nie wolno było posiadać pieniędzy, ani też wiele pracować lub wymieniać produktów; aby nie było żadnego przyodziewku z wyjątkiem pokrycia części wstydliwych, żadnych praw, a natomiast istniała zupełna wolność rozpasanego obcowania i szkoły były zniesione.

Staraliśmy się oddać wywody *Przestępstwa politycznego* w możliwie przedmiotowy sposób. Od siebie dodamy, jakeśmy już zauważyli, że dane tej pracy noszą na sobie charakter nieco anegdotyczny; tak, iż praca ta raczej czyni wrażenie podniety do poszukiwań w tym kierunku, aniżeli czegoś wykończonego.

Lud. Krz.

FILOZOFIA NIEŚWIADOMOŚCI A DARWINIZM.

Filozofia nieświadomości ma do dziś pewnego gorącego zwolennika, który nietylko sam w nią wierzy, lecz usilnie na drodze publicystycznej stara się o pozyskanie nowych dla niej wyznawców, który broni jej wobec ataków, a corocznie w kilku pismach żali się, że za mało bywa ona uwzględnianą: wytwarzym apostołem tej teoryi, która pękła jak tyle innych filozoficznych baniek mydlanych, jest Edward Hartman, jej twórca. Jak mało go krytyka przekonała i ile żywotności dotąd upatruje on jeszcze w swym systemie, świadczy okoliczność, iż świeżo ogłasza Hartman uzupełnienie głównego swego dzieła, wyświecając stosunek filozofii nieświadomości do darwinizmu. Tom ten składa się z trzech części, z których pierwsza przedstawia pierwiastek nieświadomości ze stanowiska fizyologii i teoryi pochodzenia, druga pod tytułem „Prawda i fałsz w darwinizmie,“ kusi się o krytyczne przedstawienie teoryi rozwoju, trzecia wreszcie bada, o ile krytyka darwinizmu dotyka podstaw przyrodniczych filozofii nieświadomości.

W trzecim tym tomie swego systemu pragnął Hartmann oświetlić wszechstronnie i rozwiązać spór pomiędzy poglądem mechanistycznym a teleologicznym, pomiędzy materyalizmem a spirytualizmem, pomiędzy hylozoizmem a filozofią nieświadomości. Spór ten ściśle odróżnia Hartmann od walki dawniejszego materyalizmu ze spirytualizmem świadomego, absolutnego ducha, czyli z teizmem spekulatywnym. Walka ta, według niego, ukończona została w połowie bieżącego stulecia, a obecnie na jej miejsce wstąpiła inna — hylozoizmu z panpneumatyzmem*) pierwiastku nieświadomości. Ani „materya nieświadoma,“ ani „świadomy duch“ objaśnić nie zdołały całości zjawisk przyrodniczych; zarzucono więc skrajne te pojęcia, zastępując je pośredniczącemi zasadami „świadomej materyi“ i „nieświadomego ducha.“ Wiadomo, że pogląd mechanistyczny wykluczał całkowicie teleologię; teleologia zawiera w sobie mechanizm, jako niezbędny pod względem logicznym, pierwiastek swego systemu. Dawniejszy materyalizm był ściśle antispirytualistyczny; odrzucał bowiem wszelkie współdziałanie potęg duchowych; nowszy—ochrzczony przez Hartmanna mianem naturalizmu, przyznaje, że zdolność czucia, która w protoplazmie i w szarej substancyi komórek nerwowych występuje silniej, istnieć już musi poniekąd w cząstkach materyi i w ten sposób przemienia się w hylozoizm. Hylozoizm zajmuje wobec „filozofii nieświadomości“ stanowisko podobne temu, w jakiem poprzednio zostawał materyalizm do absolutnego, świadomego ducha: wyklucza on „filozofię nieświadomości“; ta zaś zawiera go w swym systemie. Hylozoizm nie umie objaśnić jedności, odpowiedniości i rozwojowego kierunku procesu kosmicznego; duch nieświadomy zaś, występujący zarówno w funkcyach siły nieświadomej, jak w niezliczonych indywidualnych powikłaniach uczuciowych, tłomaczy, zdaniem Hartmanna, zarówno przedmiotowo-realne zjawiska materyi, jak podmiotowo-idealne przejawy uczucia i świadomości.

Według tych ogólnych punktów widzenia przeprowadza Hartmann walkę mechanistycznego hylozoizmu z teleologicznym panpneumatyzmem nieświadomości na polu filozofii natury, traktując szczegółowo o wszystkich kwestyach zasadniczych i drugorzędnych, znanych dziś w świecie naukowym pod wspólnem mianem darwinizmu. Hartmann jest zwolennikiem teoryi descendencyi, którą wciela do swego systemu jako pierwiastek zasadniczy. Chów jednak naturalny i dobór płciowy uważa za teorye o względnem tylko znaczeniu, których doniosłość przez samego Darwina, a bardziej jeszcze przez jego zwolenników nazbyt przeceniona została. Krytyka darwinizmu, o ile jest teoryą ściśle przyrodniczą, dokonana przez naszego metafizyka, dla człowieka pod względem naukowym nieuprzedzonego, żadnej nie może mieć wagi. Zajmujące wszakże są spostrzeżenia autora nad darwinizmem, jako nad systemem filozoficznym. Mylnie, zdaniem Hartmanna, uważamy go za całokształt. Samą teoryę descendencyi (pochodzenia) pogodzić można zarówno z poglądem mechanistycznym, jak z panteizmem lub teizmem; główne zaś napady antidarwinistów zwracają się przeciw teoryi selekcyi (doboru naturalnego), o ile występuje ona jako bezwzględna zasada, objaśniająca mechaniczne powstanie życia organicznego. Gorętsi natomiast zwolennicy darwinizmu nietylko dwu tych teoryj rozdzielić nie chcą, ale są przekonani, że objaśniają one w sposób stanowczy cały ogół zjawisk wszechbytu, nie wyłączając nawet tych, które według Hartmanna nigdy przez naukę indukcyjną wyświetlone być nie mogą. Najwyższe zagadnienia, o które darwinizm zahacza, są natury czysto myślicielskiej i dlatego filozofia, zdaniem Hartmanna, koniecznie się niemi zajmować powinna. Dawny spór systemów sprzecznych ześrodkowywa się dziś poniekąd w zagadnieniu o początku i rozwoju życia organicznego. Decyzya, jaką w tym względzie filozofia natury światu głosi, wielką będzie miała, według Hartmanna, doniosłość praktyczną dla rozwoju kulturowego przyszłych pokoleń; od niej bowiem zależeć będzie zwycięztwo poglądu materyalistycznego lub idealistycznego, a tem samem duch i kierunek cywilizacyjny najbliższych stuleci.

S.

*) Co za straszne nazwy. *Red.*

PRĄD SPEKULACYJNY W GEOGRAFII.

(Dokończenie).

Możnaby tu zarzucić — ciągnie dalej Supan — że geografia specyalna nie poprzestaje na opisie, lecz usiłuje także objaśniać zjawiska, czyli, wyrażając się terminologią naukową, wznosi się od chorografii do chorologii. Teoretycznie jest to zupełnie słuszne, tak być powinno, ale praktycznie rzecz ma się inaczej: można śmiało powiedzieć, że *chorografia zdławiła chorologię*.

Zadanie chorologii określamy, jako wykład wzajemnych związków między lądem i wodą, klimatem i życiem roślinnem, zwierzęcem oraz ludzkiem. Mamy tu do czynienia z sześciu elementami, które jednak nie posiadają jednakowej wartości. Gdzie mianowicie występuje w nauce człowiek jako przedmiot badania, tam zajmuje on stanowisko przeważające, gdyż naukę uprawia nie kto inny tylko właśnie sam człowiek. To ujawnia się też i w geografii specyalnej (ważne znaczenie człowieka w tej nauce wynika nietylko z wyżej przytoczonej uwagi Supana, ale i stąd, że człowiek działalnością swoją wywiera na ziemię większy wpływ, niż inne twory organiczne); materyał tej nauki rozłożony jest zwykle według szematu: kraj, ludzie, kraj i ludzie. Pierwsza część jest chorograficzną i chorologiczną, druga chorograficzno-historyczną, trzecia chorologiczną. W tym podziale niema wewnętrznej jednolitości, cóż bowiem bardziej sprzeciwia się wymaganiu ścisłej jednolitości, nad to, gdy wielu autorów łączy się dla opracowania geografii pewnego kraju? A jednak powyższy szemat nie sprzeciwia się takiemu podziałowi pracy, owszem zmusza doń niejako. Nie można zaprzeczyć, że taki podział, przy którym każdy opracowywa swą specyalną gałąź, jest bardzo korzystny dla dzieł *opisowych*, albowiem przy *opisie* chodzi przedewszystkiem o ścisłość i znawstwo szczegółów, ale wszelki *związek wewnętrzny* jest wtedy stracony i element chorologiczny rozpada się na tysiące drobiazgów. Dla takich encyklopedycznych dzieł doskonale służy nazwa „krajoznawstwa,“ to też Lupan słusznie żąda, aby nadal rozróżniano dwa zwykle dotąd utożsamiane pojęcia: „krajoznawstwa“ i „geografii specyalnej,“ albowiem w rzeczywistości na krajoznawstwo składa się nietylko geografia, lecz i liczne inne gałęzie wiedzy ludzkiej. *Krajoznawstwo nie jest nauką, lecz sumą naukowych badań danego kraju* i dlatego dobre krajoznawstwo nie może powstać inaczej, jak przez łączną pracę wielu uczonych.

Żaden geograf, stojący na gruncie dzisiejszych pojęć, nie zaprzeczy, że *ostatecznym celem chorografii jest chorologia*; to jednak nie warunkuje jeszcze ich połączenia w literaturze. Jeżeli takie połączenie okaże się szkodliwem, to nic nam nie przeszkadza do jego rozwiązania. Otrzymamy tym sposobem naukę, w której, podobnie jak w geografii ogólnej, działalność uczona polega nietylko na obserwacyi, ale także i na *pracy czysto umysłowej*, a więc usuniemy jeden z głównych powodów upośledzenia geografii specyalnej.

Ale idźmy o krok dalej. Jeżelibyśmy z geografii specyalnej usunęli wszelki element chorologiczny, to rozpadłaby się ona zaraz na dwie oddzielne grupy: fizyczno-geograficzną i antropo-geograficzną. Słowem, staniemy znowu przed dualizmem, któryśmy znaleźli w geografii ogólnej i o którym powiedzieliśmy, że on w specyalnej może być usunięty. Tutaj nie widzę — mówi Supan — innego środka, jak powrócić do zasadniczej myśli Karola Rittera i znowu człowieka umieścić w środkowym punkcie obrazu. Możemy przytem porzucić wszelką dążność teleologiczną (celową) i posługiwać się metodą czysto indukcyjną. Tym sposobem jednolitość wewnętrzna zostałaby przywrócona, jakkolwiek kosztem zakresu zagadnień chorologicznych, co zaraz okażemy.

Stosunki człowieka do przyrody są dwojakiego rodzaju: z jednej strony odnoszą się one do jednostki tak duchowo, jak i cielesnie i tym sposobem tworzą pewien typ narodowy; z drugiej strony odnoszą się do ludzi w ich życiu *społecznem*. Wszystkie zagadnienia, należące do stosunków pierwszego rodzaju, mogą być z powodzeniem rozwiązane tylko przez ogólną antropogeografię na podstawie obserwacyj, które obejmują całą ziemię. Często słyszymy np. twierdzenie, że mieszkańcy Alp są konserwatywni, albowiem przyroda zmusza ich do wciąż jednakowych zajęć, a komunikacye odbywają się tam po wciąż jednakowych drogach; albo, że są oni pobożni, albowiem groza w górach stawia zawsze przed ich oczyma jakąś wyższą potęgę i zmusza ich do szukania we wszystkiem pomocy boskiej. Czy twierdzenie to odkrywa nam rzeczywiście pewne prawo wewnętrznego związku między zewnętrzną przyrodą Alp i ich mieszkańcami? Być może, ale geografia *specyalna* nie daje nam probierza do rozpoznania tego. Wyłączmy więc kwestye tego rodzaju z geografii specyalnej (lecz nie z ogólnej) i ograniczmy się na takich związkach, które w obrębie pewnego kraju dadzą się z całą pewnością wykazać. Są to przedewszystkiem przyrodzone warunki produkcyi, komunikacyi, osiedlenia a po części i rozwoju politycznego.

Z obowiązku sprawozdawcy pozwolimy tu sobie znów zauważyć, że Supan tym sposobem wyklucza niesłusznie stosowanie praw geografii ogólnej do poszczególnych objawów geografii specyalnej, która zupełnie inaczej przedstawia nam się na tle pierwszych, aniżeli w oderwaniu od nich. Tu jest właśnie wzajemna usługa obu gałęzi geografii, podo-

bnie jak to spotykamy w wielu innych naukach: za pomocą poszczególnych faktów i praw cząstkowych (geografia specyalna) dochodzimy do teoryi, do praw ogólnych (geografiia ogólna), a za pomocą teoryi odwrotnie: objaśniamy nowe napotykane fakty szczegółowe (i ich związki) nawet przewidujemy je. Jeżeli np. prawem geografii ogólnej jest, że mieszkańcy gór są konserwatywni i religijni, to objawy te napotkane w szczególności u mieszkańców Alp będą dla nas zupełnie zrozumiałe; udając się do mieszkańców nieznanych nam gór, będziemy się spodziewali znaleźć u nich te objawy, jeżeli zaś ich nie znajdziemy, to zrozumiemy dobrze, iż mamy tu przed sobą anomalię, której przyczynę miejscową zbadać powinna właśnie geografia specyalna. Tym sposobem *rozumowe* traktowanie geografii specyalnej ma daleko *obszerniejsze granice*, niż te, jakie jej zakreśla Supan, a jakie służą prawie wyłącznie tylko *części* geografii specyalnej, mianowicie — ekonomicznej.

Dalej zwraca Supan uwagę na rzeczywiście ważną kwestyę geografii specyalnej: pewna kraina geograficzna, mówi on, wywiera pewien wpływ na stosunki społeczne swych mieszkańców nietylko przez swe *własne* przyrodzone warunki, ale i przez to, że wchodzi w styczność z *sąsiednią* geograficzną krainą, posiadającą inny charakter. *Siła sąsiednich geograficznych kontrastów, dążących do wyrównania*, jest jedną z najważniejszych sił, kształtujących życie narodu, ale objawia się ona różnie w różnych czasach i często kulturalny środek ciężkości przesuwa się z jednej geograficznej krainy do drugiej. Tak np. kraje alpejskie tworzą w obrębie monarchii austryackiej ostro zarysowaną, naturalną prowincyę. Główny kontrast występuje tutaj między górami oraz na północ i wschód od nich ciągnącemi się równinami i krajami pagórkowatymi. Dalsze poszukiwania odkryją nam w każdej z tych dwu części, ściśle ze sobą związanych hydrograficznie i historycznie, nowe przeciwieństwa i naturalnie w górach liczniejsze niż na równinach. I tak np. spostrzegamy przedewszystkiem kontrast między Tyrolem i dalej na wschód leżącymi krajami alpejskiemi, uwarunkowany przez kierunek głównych dolin; dalej pośród ostatniej części spotykamy kontrast między Krainą i Karyntyą, które posiadają kotliny centralne, a pozostałemi krajami — Austryą, Salzburgiem i Styryą — które nie posiadają takich centrów i dlatego muszą swe środki ciężkości przenosić po za góry na wyżynę lub w krainę pagórkowatą. Inna grupa kontrastów rozwija się z różnic między pojedynczemi częściami gór co do wysokości, budowy i natury skał. W obrębie każdego większego systemu dolin spotykamy kontrast między dolinami podłużnemi i poprzecznemi i nakoniec dochodzimy do występującego wszędzie kontrastu między górą i doliną. Dodajmy do tego, że w rozwoju czasu jeden lub drugi kontrast występował silniej, gdyż produkcya i komunikacye ulegały różnym zmianom — przypomnijmy tylko dawne znaczenie Tyrolu i Tauernu ze względu na wydobywanie metali szlachetnych, a obecne znaczenie wschodniej części Alp dla produkcyi węgla kamiennego i górskich kolei żelaznych itd. Widzimy z tego wszystkiego, jak wielkie i płodne pole pracy naukowej otwiera nam się tutaj, pole, którego żadna inna nauka nie stara się objąć. *W pojęciu więc sąsiednich geograficznych kontrastów znajdujemy środek, w którym przyroda i życie narodu splatają się ze sobą w jedną całość.* Stąd wynika, że zadanie chorologii tkwi: 1) w skonstatowaniu, scharakteryzowaniu i przyczynowem uzasadnieniu sąsiednich kontrastów geograficznych, 2) w zbadaniu ich wpływu na materyalną kulturę i polityczne losy mieszkańców w przeszłości i teraźniejszości.

I tutaj znowu widzimy, iż ograniczenie wprowadzone przez Supana jest zbyteczne, albowiem mimo tego ograniczenia w powyższych dwóch punktach występuje znowu ów „fatalny“ dualizm, którego Supan właśnie chciał uniknąć. Inaczej być nie może: geografia jako nauka, obejmująca *ogół* zjawisk ziemskich (przyrodniczych i ludzkich) w ich wzajemnym *związku*, musi z powodu pierwszej części tej definicyi teoretycznie przedstawiać dualizm, z powodu zaś drugiej — praktycznie stanowić jednolitą całość, spajającą dwa światy zjawisk: świat przyrody i świat człowieka, które tylko pozornie są różne. Jedynie tylko wtedy, gdybyśmy chcieli trzymać się koniecznie tradycyjnego traktowania człowieka w oderwaniu od natury, dualizm ten byłby niepokonanym i w praktyce, a geografia nie istniałaby jako nauka jednolita, lecz jako dwie nauki, nic wspólnego ze sobą niemające. A jednak rzecz niepojęta: niektórzy nasi geografowie (?) występowali przeciw niżej podpisanemu właśnie z powodu niezachowania przezeń owej „tradycyi“ i ani się nawet domyślali, że była to z ich strony zupełna negacya geografii. *O sancta simplicitas!*

Zrozumiałą jest rzeczą, mówi dalej Supan — że taki sposób traktowania da się zastosować tylko do zamieszkanej części powierzchni ziemi (w pierwszym jednak z dwóch powyższych punktów Supana da się zastosować i do niezamieszkanej); możnaby tę część określić jako obszar *czynnych*, kraje zaś niezamieszkane, jako obszar *utajonych* (lepiej: *potencyalnych* *)) kontrastów. Ale i w pierwszych występują najprzód tylko kontrasty bezpośrednio sąsiednie, działają tylko geograficzne miejscowości w najściślejszem tego słowa znaczeniu. W ciągu jednak rozwoju dziejowego miejscowości te zrastają się w prowincye geograficzne i wtedy występują geograficzne kontrasty wyższego rzędu — kontrasty prowincyj. Głęboki kontrast np. między Europą zachodnią i wschodnią występuje czynnie dopiero w nowych czasach, a kontrast między Europą i Ameryką północną nawet dopiero od niewielu dziesięcioleci. Jeden z najpotężniejszych kontrastów, kontrast między pasami klimatycznymi, stał się czynnikiem panującym w historyi ludzkości dopiero wskutek olbrzymiego rozwoju handlu i kolonizacyi. Tym sposobem chorologie poszczególnych krain rozszerzają się do *chorologii ziemi*, zupełnie tak samo, jak historye specyalne rozszerzają się do historyi świata. I jak historya świata powinna być czemś więcej, niż prostym zbiorem historyi specyalnych w chronologicznym porządku, podobnie i chorologia ziemi powinna osiągnąć stanowisko samodzielne przez to, iż, zapatrując się z wyższego punktu, obejmująć szerszy widnokrąg niż chorologie poszczególnych krajów, powinna za cel swych badań obrać te kontrasty geograficzne, które występują jako czynniki kierownicze w historyi rozwoju ludzkości.

Kończąc na tem streszczenie odczytu Supana, dodamy do uwag poprzednio już czynionych, że jakkolwiek nie zgadzamy się z autorem na jego ograniczenie geografii specyalnej prawie tylko do ekonomicznej, to jednak musimy przyznać, że Supan swą ideą geograficznych kontrastów zwrócił uwagę na zjawisko mało dotąd uwzględniane, oraz, że oddzielenie geografii specyalnej „spekulacyjnej“ (my nazwaliśmy ją „rozumową“) od opisowej i przyznaniem tylko pierwszej prawa nauki zrobił nowy wyłom w bezdusznem tradycyjnem traktowaniu geografii specyalnej jako zbioru faktów. Że ten tradycyjny mur trzyma się jeszcze a nawet występuje zaczepnie i że ten nowy pocisk nie jest spóźniony — dowodem napaści, jakich ze strony naszych krytyków doznała „geografia rozumowa“ *)..

W. Nałkowski.

*) Albowiem same kontrasty są widoczne, tylko ich siła, ich wpływ na człowieka nie może się w danej chwili ujawnić.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWY SŁOWNIK NAUK PAŃSTWOWYCH.

W literaturze politycznej Niemiec zauważyć można od pewnego czasu stagnacyę: ilość dzieł, ukazujących się w handlu księgarskim, jest mniejsza niż zazwyczaj, a w pismach fachowych spotykamy prace samych niemal młodych, nieznanych autorów. Przyczyną tego zjawiska jest wydawnictwo olbrzymiego dzieła zbiorowego, p. n. *Słownik nauk państwowych* (*Handwörterbuch der Staatswissenschaften*), w którem uczestniczą wszyscy niemal wybitni na danem polu uczeni, a które wychodzi zeszytami, pod redakcyą profesorów: J. Conrada i E. Loeninga w Halli, W. Lexisa w Getyndze i L. Elstera we Wrocławiu **).

Program dzieła nie zupełnie odpowiada jego tytułowi. Nie będzie to bowiem słownik nauk państwowych, o zakroju znanych zbiorów Rottecka i Welsblera, lub Bluntschlego: kwestye konstytucyonalne i administracyjno-prawne, o ile są czysto formalnemi, nie znajdą w nim uwzględnienia. Lecz z drugiej strony nie będzie to wyłącznie słownik ekonomii politycznej, podobny do dzieł, wydanych przez Guilaumina i Coquelina, Bronarda lub Macleoda. Nowe wydawnictwo uzupełnić ma poniekąd zbiory dawniejsze: przedstawi ono gospodarcze i społeczne zjawiska wszystkich krajów cywilizowanych w ich rozwoju historycznym; dalej — ustawodawstwo i statystykę ekonomiczno-społeczną, wreszcie główne rezultaty dyskusyj parlamentarnych i literackich o współczesnych zagadnieniach gospodarczych i społecznych.

Słownik ten obejmie 6—7 tomów, 300—500 arkuszy druku. Publikacya ma być ukończoną w ciągu trzech lat, a więc potrwa do połowy 1893 r. Łatwo tedy zrozumieć, że produkcya na polu nauk państwowych

*) Jeszcze przed kilku dniami jeden z naszych historyków robił ustnie ciężki zarzut „geografii rozumowej,“ iż nie mógł znaleźć tam potrzebnej mu wiadomości, w jakich miastach amerykańskich są uniwersytety; kto inny zrobi zapewne równie słuszny zarzut, że nie wyliczono tam najbardziej renomowanych hoteli (itp.) w miastach Europy itd. itd. Na nasze zaprzeczenie, iż takie rzeczy do geografii nie należą, oponent nasz przytoczył znane zdanie pewnego nieuka: „po co się uczyć geografii, kiepy furman zawiezie nas gdzie potrzeba,“ ani się domyślając, że nie jest to bynajmniej poparciem tradycyjnego pojęcia geografii, lecz jego gryzącą krytyką: widoczną bowiem jest rzeczą, że pojęcie geografii owego „nieuka“ zupełnie godzi się z pojęciem o niej mego oponenta, różnica jest tylko ta, że „nieuk“ uważa uczenie się *takiej* geografii za bezużyteczne, i, choć nieświadomie, ma zupełną racyę; mój oponent zaś każe się uczyć takiej geografii i nie ma racyi. Dziwi nas doprawdy odwaga tych panów, którzy nie śledząc za postępami geografii, nie mając najmniejszego wyobrażenia o jej olbrzymim rozwoju od czasów Czarkowskich et Comp., mają pretensyę do ferowania wyroków w tej kwestyi i sądzą, że geograf niema nic lepszego do roboty, niż łamać sobie głowę nad tem, jakie informacye mogą być potrzebne historykom, handlarzom, turystom, chorym udającym się do wód itd. Istotnie panowie, co do *waszej* geografii, to „nieuk“ miał racyę: te rzeczy zostawmy furmanom, szwajcarom hotelowym, faktorom, zresztą reisebuchom, kalendarzom itp. Nie narzucajcie panowie historycy i niehistorycy tych rupieci geografom, trud wasz daremny; raczej wytworzycie w nas przekonanie, że i wasza wiedza jest jedynie workiem przeróżnych wiadomości.

**) Jena, G. Fischer. Tom I. 1889—90

dziś i na lat parę znacznie zredukowaną być musi, skoro wszystkie siły wybitniejsze skupiają się około wielkiego dzieła.

Poruszono pytanie w organach fachowych, czy dzieło to użytecznością swą odpowiadać będzie złożonemu w niem kapitałowi pracy umysłowej.

Jasną jest dla każdego konieczna potrzeba słownika, któryby, wobec rozgałęzionej niesłychanie i zróżniczkowanej literatury nauk państwowych, przedstawił treściwy obraz ich zdobyczy. Na podstawie zeszytów dotychczasowych sądzić możemy, iż nowy ten słownik będzie wybornem źródłem informacyjnem nietylko dla urzędników administracyjnych, mężów stanu i ludzi, oddanych zawodom praktycznym, lecz i dla uczonych. Już ta sama okoliczność, że ustawodawstwo gospodarcze i materyał statystyczny uwzględnione będą w sposób wyczerpujący, niepraktykowany w podobnych wydawnictwach, nadaje dziełu niezwykłą wartość, którą jeszcze podnosi obfita bibliografia, obejmująca wszystkie gałęzie nauk ekonomicznych i społecznych.

A jednak zauważyć należy, iż praca ta, pochłaniająca ogromny zasób siły umysłowej tylu uczonych, nie przyczyni się bezpośrednio do postępu nauk państwowych, gdyż poświęcona jest jedynie streszczeniu dotychczasowych wyników i że w tym względzie niepodobna dziś kusić się o całość jednolitą, bo na polu odnośnych nauk panują głębokie sprzeczności w poglądach zasadniczych, sprzeczności, które odbijać się muszą w sposobie pojmowania i traktowania wszystkich faktów i szczegółów. Wystąpią one w tem nowem dziele zbiorowem z siłą nie mniejszą, niż w Schönberga słowniku ekonomii politycznej.

A jednak, mimo to wszystko, dzieło podobne niezbędne jest w naszych czasach. Trudność informowania się, na podstawie źródeł lub prac, rozrzuconych po pismach fachowych, zwiększyła się w ostatnich latach znacznie. A na żadnem może polu nie daje się uczuć tak konieczna a powszechna potrzeba dokładnej informacyi, jak na niwie gospodarstwa państwowego, polityki społecznej i skarbowości. Życie polityczne a nawet prywatno-gospodarcze zmusza wielu do wygłaszania sądów lub do powzięcia decyzyi w odpowiednich kwestyach, których traktowanie wymaga głębszej wiedzy fachowej. Tę potrzebę ma głównie zaspokoić słownik nowy. Redaktorowie zrezygnowali z systematycznego, jednolitego traktowania przedmiotów, poprzestając na alfabetycznem uporządkowaniu materyału. Tom pierwszy, dopiero co właśnie zamknięty, obejmuje kwestye najżywotniejsze: sprawę robotniczą, towarzystw akcyjnych, polityki agrarnej, emigracyi, ustawodawstwa dla ubogich itp.

Zaznaczamy, że i w innych krajach potrzeba wydawnictw podobnych wystąpiła w ostatnich latach silniej, niż przedtem. Guillaumina i Coquelina *Dictionnaire d'Economie Politique* pojawia się w nowem wydaniu pod redakcyą Leona Saya i J. Challeya (nakładem Guillaumina); nadto Say publikuje osobny *Dictionnaire de Finance.* W Anglii wydaje R. H. Inglis Palgrave *Dictionary of Political Economy* (nakładem Mac Millana). We Włoszech Broccarda *Dizionaro universale della Economia Politica e del Commercio* pojawił się w wydaniu nowem, uzupełnionem. Dla Ameryki wreszcie wydał Laler *Cyclopaedia of Political Science, Political Economy and of Political History of the United States.*

L.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Papierowy plaster na ranę społeczną. — „Garnuszek" *Kolców* przed surowym sądem. — Siła nałogu i ofiary niedbalstwa. — Kasa artystów i osób do teatru należących. — Filantropijna czy finansowa.— Skargi. — Nowy rój w ulu Stowarzyszenia subjektów handlowych wyznania mojżeszowego.— Odmowa Siemiradzkiego.— Potrzeba zmiany przeznaczenia zapisów.

Najłaskawszej krytyce podlega u nas gruba książka, surowszej —broszura, a najsurowszej — pojedynczy numer pisma. Niedawno wyszło (zamilczmy jego tytuł) obszerne dzieło z mapami i rysunkami, które od początku do końca, od pierwszego do ostatniego wyrazu składało się z samych niedorzeczności, a jednakże zyskało kilka pochlebnych wzmianek. Natomiast nie pojawił się nigdy taki zeszycik lub arkusz druku, któryby (jeżeli o nim mówiono) nie był poskubany na najdrobniejsze włókienka. Przyczyna tego objawu bardzo prosta: do przeczytania grubej książki potrzeba dużo czasu, a często też znajomości rzeczy, do przeczytania zaś kilku kartek lub szpalt wystarczy jedna godzina lub pół, bez wielkiego zapasu wiedzy. Dlatego to najchętniej i najobszerniej piszemy o zeszycikach, artykułach i... sztukach granych w teatrze, które się poznaje w warunkach przyjemnego spędzenia wieczoru. Dlatego również rozprawiamy szeroko i surowo o t. zw. jednodniówkach. Przed kilku laty rodziła je moda tak obficie, że aż usiłowano zapobiedz tej płodności. Na każdą ranę społeczną — od wody, ognia i głodu — miłosierdzie przykładało ten papierowy plaster, a publiczność, która z początku rozchwytywała go w lot, zaczęła wreszcie nużyć się jednostajnością. Wreszcie po długiej przerwie redakcya *Kolców* wskrzesiła jednodniowego motyla i ubrawszy go w jaskrawe barwy, kazała mu z kieszeni ludzkich zbierać miód „na garnuszek" dla „niemowląt pozbawionych rodziny." Takie bowiem przeznaczenie otrzyma czysty dochód z wydawnictwa, który ma być złożony warsz. Towarzystwu dobroczynności. Płód ten przyszedł na świat bez mocy oczarowania go: poczęty naprzód jako dziecię dobrego humoru, przybrany został w czapeczkę błazna, w pstrokate sukienki i wesołe żarty; następnie domieszano mu do śmiechu rysy powagi i smutku, tak, że oblicze jego jak gdyby zlepione z dwu odmiennych twarzy, z których większa drwi a mniejsza płacze. Obrzucenie siatką humorystyczną tragedyi losu dzieci opuszczonych i „na garnuszek" skazanych, zwłaszcza po świeżem odkryciu ich szlachtuza u Skublińskiej za zbyt ostry tworzyło kontrast wesela z niedolą, ażeby myśl taką można było nazwać szczęśliwą. Wszystko to prawda. Ale jeśli zważymy, że uzbieraniem grosza dla małych nędzarzów zajęła się redakcya tygodnika humorystycznego, która na wydawnictwie musiała odbić swój charakter, że ono niczem więcej nie jest i być nie pragnie, jak skarbonką kwestarską, to zaiste trudno pojąć, czemu z kilku stron poszturgnięto ją gniewnie. Nad czem tu się pastwić i co sążniem mierzyć! Czy lepsze od niej są koronki, atłasy i materye różnobarwne, wirujące na balach dobroczynnych „dla ulżenia nędzy"? Czy ten, dziecko dość zwykłemi wstęgami związany wianek myśli nie więcej wart od tanecznej zabawy, z której zbytek otrzymuje tysiące rubli, a ubóstwo dziesiątki? Wyznajemy, że dla nas ponad wszystko wstrętniejszą jest filantropia tańcująca, która jednak nietylko cieszy się pobłażliwością, ale nawet wielkiem uznaniem.

Zawartości „garnuszka" *Kolców* nie rozbieramy. Jest to mieszanina okruchów i skrawków, cennych i poślednich, niepośledniejszych wszakże od zwykłego bigosu literackiego. Zapuszczać głęboko zęby krytyczne w taką przyprawę byłoby poprostu rzeczą śmieszną, podczas gdy można zachować się daleko poważniej, zachęcając wszystkich do kupowania kwestarskiego zeszytu. Im liczniejszych będzie on miał nabywców, tem więcej z 50 kop. jego ceny odpadnie dla nieszczęśliwych dzieci. Ten wzgląd powinien być pobudką wystarczającą dla każdego, kto umie zdobyć się na coś więcej, niż na gromienie Skublińskich.

Niedługo zaczniemy wydawać jednodniówki na korzyść rozbitych lub zabitych mularzów i pozostałych po nich rodzin. Co kilka dni bowiem pisma donoszą o nieszczęśliwych wypadkach przy budowie i odnawianiu domów, o spadnięciach, o połamanych żebrach, nogach i rękach lub roztrzaskanych czaszkach. Z nielicznymi wyjątkami prawie zawsze przyczyną nieszczęścia jest liche zabezpieczenie pracujących, którzy stoją na drabinie przyczepionej do sznurów i nakrytej deską a przy najmniejszej nieuwadze lub zawrocie głowy spadają ze znacznej wysokości na bruk. Zalecone dla tych ptasich grzęd siatki bądź nie stanowią dostatecznej ochrony, bądź też nie zawsze są stosowane. Zdawałoby się, że najsilniejszym w człowieku jest instynkt samozachowawczy, który uprzytomnia mu ciągle potrzebę i środki bronienia swego życia. Tymczasem nieraz daleko mocniejszym od niego bywa nałóg. Od wieków zapewne mularze przy odnawianiu kamienic używają nieotoczonych żadną baryerą drabin na sznurach i pomimo że ustawicznie opłacają to rusztowanie życiem lub kalectwem, zatrzymali je dotąd. Umocniony tym nałogiem i złączoną z nim brawurą upór nie ustąpi ani przed namową, ani przed rozumowaniem, ani przed dbałością o własne życie, tylko przed zakazem. Polecono też istotnie, ażeby mularze odnawiali domy w rodzaju ruchomych balkonów, ale nacisk był za słaby, więc nie wywarł uległości powszechnej. A tylko stanowczy i bezwzględnie obowiązujący przepis mógłby zapobiedz smutnym i tak częstym wypadkom. Jeżeli nie wolno służącym myć okien na piętrach od strony zewnętrznej, należy również zabronić pracowania mularzom na wiszących drabinach, niezaopatrzonych stosownem otoczeniem. Koszty takich bezpiecznych przyrządów będą tak niewielkie, że bez wysiłku ponieść je mogą przedsiębiorcy i majstrowie mularscy, a ileż to oszczędzi się ofiar, ile boleści i nędzy rodzinom, pozostałym po zabitych ojcach!

Skutkiem szybko wzrastającej niemocy ekonomicznej lichwa wżera się coraz głębiej w organizm społeczny. Na wielką skalę odbywa się sprzedaż dusz dyabłom i wystawianie im cyrografów za chwilowe ulgi w życiu. Obok pijawek drobnych i rozrzuconych wysysają krew klas uboższych potwory, zwane lombardami prywatnymi, dorównywające nieraz swą żarłocznością najokrutniejszym osobnikom lichwiarskiego rodu. Jest tych gniazd gadzinowych w Warszawie mnóstwo; nie wszystkie jednak odsłonięte i dla kontroli dostępne; najgorsze ukryte są w norach, do których tylko trafić umie po krętych ścieżkach nędza. Niektóre wszakże działają jawnie. Otóż te z pobudki p. oberpolicmajstra postanowiono zreformować. Podzielono je naprzód na dwie kategorye: do pierwszej należą 4 większe, trudniące się wypożyczaniem sum znaczniejszych i czyniące wybór w przyjmowaniu zastawów, do drugiej — 22 mniejsze, działające śród klas ubogich. P. oberpolicmajster zwrócił się do lombardu akcyjnego, jako najbardziej umiarkowanego, z propozycyą założenia kilku filij w rozmaitych dzielnicach miasta dla ludności biedniejszej. Zarząd wszakże tego przybytku zasłonił się bezwładnością i odłożył swą odpowiedź do zebrania się akcyonaryuszów we wrześniu. Tymczasem zanim komisye, złożone z przedstawicieli władz i obywatelstwa, wypracują

ustawę nadzorczą dla lombardów prywatnych, postanowiono skrępować nieco ich właścicieli w możności robienia nadużyć i zmusić ich do prowadzenia ksiąg buchhalteryjnych.

Nie mogąc przerobić budowli, łatajmy przynajmniej dziury. Czy lombard akcyjny zgodzi się na otworzenie filij — nie wiadomo, w każdym razie zdaje się, że nie będzie on miał wielkiej chęci do wdania się w te drobne operacye pożyczkowe, których potrzebuje ludność uboga. A o tę ludność przedewszystkiem chodzić nam powinno. Czy bowiem jakaś dama dostanie gdzieś pieniędzy na zastaw swych klejnotów dla sprawienia sobie nowej sukni, lub jakiś pan — dla wypłacenia pensyi swej utrzymance — to nas nie dręczy; ale czy biedny rzemieślnik lub robotnik znajdzie tanią pożyczkę dla kupienia towaru lub nakarmienia dzieci — wątek tej kwestyi powinien się owinąć około naszego serca. Zakładanie lombardów o tyle filantropijnych, ażeby nie żyły lichwą, lecz zadawalały się umiarkowanym procentem, jest sprawą naglącą i bynajmniej nietrudną do urzeczywistnienia. Bo ryzyka tu niema, a kapitalista obok bezpieczeństwa dla swych pieniędzy i godziwego procentu mieć będzie w dodatku zadowolenie, że wyświadczył usługę biedakom.

Czy „Kasa pożyczkowo-wkładowa artystów i innych osób należących do składu teatrów warszawskich" jest instytucyą filantropijną, czy też finansową? P. Kotarbiński, członek zarządu, odmówił jej stanowczo charakteru dobroczynnego, uczestnicy zaś, zwłaszcza skromniejsi, bronią tego jej znamienia. I, zdaniem naszem, mają zupełną słuszność, którą krótko a całkowicie uzasadnił ich rzecznik w jednym z *Kuryerów*. Bo jeżeli — powiada on — Kasa nie jest filantropijną, to dlaczegóż przyjmuje darowywane jej fanty na tombole i naddatki przy sprzedaży biletów na swoje widowiska? Istotnie, cóżbyśmy rzekli, gdyby np. Kasa przemysłowców warszawskich urządzała sobie tombole oraz przedstawienia i brała od publiczności fanty oraz naddatki? Zapytalibyśmy ją, czy jest dobroczynną i czy rozporządza swymi funduszami zgodnie z tym charakterem. O to pytać nie potrzeba, tylko żądać tego należy od Kasy artystów i osób do teatru należących. Skoro ona przyjmuje ofiary, musi być filantropijną i nie powinna rozdzielać wpływających do niej wsparć według dostatku, ale niedostatku swych uczestników. Jeżeli ktoś daje jej rubla, to przecież nie z intencyą, ażeby z tego rubla największy dostał pobierający największą pensyę. Zauważyć przytem trzeba, że największą część swych dochodów czerpie Kasa z tych ofiarniczych źródeł, ze składki publicznej. „Grono" jej członków przesłało nam skargę, żaląc się na wiele innych nieprawidłowości. Nie powtarzamy ich tu, gdyż „grono" to zwróciło się do nas bezimiennie, a głosów anonimowych uwzględniać nie możemy. O ile nam wszakże wiadomą jest gospodarka Kasy, na zewnątrz filantropijna, a wewnątrz finansowa, nie godzimy się na nią ani w zasadzie, ani w wykonaniu. Instytucya ta powinna sprawiedliwiej rozdzielać swoje fundusze, tj. punkt ich ciężkości przesunąć bardziej ku uczestnikom biedniejszym i żadną emeryturą na starość niezabezpieczonym. Powtóre należałoby w niektórych wydatkach ograniczyć zbytnią hojność. Tak np.— według sprawozdania — p. Janicki wykazał, że pensya buchaltera (który *nb.* nie należy do składu teatrów), wynosząca pierwotnie 300 rs., wzrosła do 900 rs., nie licząc kilkuset rubli gratyfikacyi — na co zarząd odpowiedział propozycyą... podwyżki. Doprawdy, jeżeli buchalter skromnej Kasy pożyczkowo-wkładowej teatrów pobiera tysiąc kilkaset rubli, to ileż potrzebaby płacić buchalterowi banku lub kolei żelaznej?

Żydzi dawali nam dotąd przykład solidarności. Chodzi nawet dotąd po świecie legenda o tem ich uzdolnieniu, chociaż mocno poturbowana dowodami przeciwnymi. Na coraz twardszych warunkach walki o byt pękają ogniwa łańcucha, spajającego to plemię i — jak wszędzie — interes jednostkowy pamięta wyłącznie o sobie. Zaprzeczyć jednak trudno, że instytucye izraelskie zachowały dotąd swój dawny cement i trzymały się krzepko. Ale widocznie i na nie przyszła kolej rozpadu. Bo oto z ula „Stowarzyszenia subjektów handlowych wyznania mojżeszowego" ma wylecieć i osiąść w innym nowy rój, któremu w starym niewygodnie. Pomijamy czas, nieszczęśliwie obrany na to wyrojenie się, które niewątpliwie pozostanie w granicach dawnego rozmachu; czegoż niezadowoleni żądać więcej mogą nad to, co posiadają w swej ustawie, zapewniającej im możność porozumiewania się, wzajemnego wspierania, przyjemności umysłowych i artystycznych? Czy nie lepiej i nie roztropniej wlewać młode wino w stary dobry wór, niż gonić za dziurawym nowym? P. J. Kaufman, założyciel instytucyi, nie traci nadziei i nawołuje w (*Kur. codz.*) do zastanowienia się. Niech go usłuchają zwolennicy emigracyi, bo spróbowawszy szczęścia, niezawodnie wrócą do swego gniazda zawstydzeni i żałować będą nieoględnego porywu.

Jak głosi wieść dziennikarska, Siemiradzki, obdarzony nagrodą z zapisu Barszczewskiego przez krakowską Akademię umiejętności, za obraz „Fryne," odmówił przyjęcia odznaczenia, tłomacząc, że taka zachęta powinna być udzielana tylko artystom młodym i nieznanym, nie zaś znanym, którzy jej nie potrzebują. Siemiradzki ze swego stanowiska dowodzi słusznie, ale co mają począć szafarze wszelkich legatów, jeżeli zapisodawca stanowczo wymaga od nich, ażeby wyznaczoną przez niego nagrodę przyznawali dziełom i utworom najlepszym, które bardzo często są pracami artystów lub badaczów „znanych" i... zamożnych? Niema innej drogi dla uniknięcia tego szkopułu, tylko uwarunkowywanie zapisów na cele artystyczno-naukowe w ten sposób, ażeby one były istotnie zachętą i pomocą dla tych, którzy ich potrzebują. Bo jeżeli ktoś ustanowi premia za najlepsze obrazy, to z konieczności trzeba je będzie wypłacać Matejce lub Siemiradzkiemu, artystom, którzy mają dość sławy i pieniędzy.

Z.

NA WIDNOKRĘGU.

Rzemieślnicy, jako pionierzy oświaty na wsi. — Kilka uwag. — Przepisy o sołtysach. — „Parcelowstręt" chłopów pewnej okolicy. — Nowy rzut światła ze strony *Dziennika Warszawskiego*. — Projekt reformy szpitali prowincyonalnych.

Oświata ludu wiejskiego nie przestaje pokutować w naszych głowach. Jest to zresztą najżywotniejsza sprawa u nas na dzisiaj. Mrówcza praca Promyka, kwestyonaryusze, pisma ludowe — świadczą najlepiej o tem. Cóż dalej? Inicyatywa wychodzi z łona inteligencyi, którą od ludu oddziela fatum i tysiąc przeszkód technicznych. „Gdzież więc na to środek zaradczy?—woła p. J. B. Koskowski w *Gazecie lubelskiej*. W zwlekanie bawić się nie zawsze jest dobrze i nie jest to najprostsza droga, prowadząca do celu. Presya władzy i prawodawstwa jest tylko półśrodkiem. U dzieci napędzonych pod przymusem do szkoły, gdy podnieta do oświaty nie wychodzi z łona rodziców i otaczającej sfery, spotykamy się z niechęcią i lekceważeniem pracy." Uprzytomniwszy w ten sposób położenie, przychodzi p. K. do wniosku, czyli „rzuca" nie zupełnie wprawdzie oryginalną, lecz dość ponętną i ciekawą „myśl." Rzemieślnicy nasi składają się przeważnie z jednostek, które po skończeniu jednej lub dwu klas gimnazyalnych, idą do terminu w warsztatach większych miast. Sfera taka działa najczęściej na nich „zbawiennie": nabierają w niej „trzeźwych" zasad konieczności pracy, oszczędności, oświaty, słowem wznoszą się na wyższy szczebel kultury tegoczesnej. Tak ukształtowani moralnie i umysłowo, w pogoni za chlebem, rozpraszają się oni po prowincyi, gdzie odrazu otacza ich żywioł o niższym poziomie duchowym. Tu dopiero otwiera się dla nich pole oddziaływań. Postawieni potrzebą zarobkowania obok ciemnego chłopa, a trybem życia i rodzajem zajęć bardziej dla niego pociągający, ci wychowańcy miast nieodzownie stać się mogą wzorem do naśladowania. „U niejednego może się zrodzić pytanie — rozumuje w dalszym ciągu p. K. — dlaczego nie zdoła dojść do podobnych rezultatów jakaś jednostka, obdarzona większym zasobem intelektualnego rozwinięcia? Dlatego, iż rzemieślnicy żyją, obracają się śród ciemnych mas, które my znamy z oddali; następnie ubiorem swym, mową, wielu innemi cechami nie różnią się od owej sfery, asymilują się przeto łatwiej i wzbudzają w sobie ufność, która jest podkładem do dalszego działania." Jako przykład przytacza autor pomysłu fakt, dostrzeżony przez siebie w życiu. Zna on miejscowość, gdzie dwóch braci szewców zgodnością swych zasad z życiem potrafili stworzyć „pewną reakcyę wśród swej sfery" i kilku nakłonili do zabonowania pism ludowych, kilkudziesięciu do czytania ich, do zaniechania trunków gorących itp.

Pomysł p. K. nie zraża nas, jak redakcyę *Gazety lubelskiej*, obawą „korupcyi moralnej," którą rzemieślnicy większych miast mogliby wnieść pomiędzy niewinnych baranków-chłopków i pokalać to naczynie zdrowia narodowego. Sądzimy, że nawet w roli nieświadomych szerzycieli światła, jak życzy autor, rzemieślnicy więcej by zdziałali, niż niejeden pełen najpobożniejszych pragnień „inteligent," stojący bezradnie na krawędzi swego stanowiska społecznego i tęsknem okiem mierzący przepaść, która go oddziela od ciemnej masy przyszłych odrodzicieli — od ludu. Ale cóż dalej? Rzemieślników, w rodzaju przytoczonych dwóch braci szewców, wieś posiada dotąd bardzo mało, po miastach zaś ledwie oni wyżyć zdołają. Wystarczyłoby ich tylko prawidłowiej rozmieścić po wsiach i osadach, żeby się stało zadość temu, o czem marzy p. K. Zachodzi jednak pytanie, kto się podejmie kierownictwa w tem przedsięwzięciu, które musi być celowem, jeśli ma być skutecznem? Kto wytknie drogi, któremi mają odpływać i wskaże miejsca, gdzie zechcą osiąść zbyteczni po miastach szewcy, krawcy, kowale, stolarze, kuśnierze? Bez energicznego udziału całego szeregu biur powiadomczych nic by tu wskórać nie można było. P. Koskowski w prostocie ducha sądzi, że siły inteligencyi winnyby się „skojarzyć ku temu." Naturalnie — o ile tu wbrew niej coś się nie „przeciwskojarzy..."

Najniższy szczebel administracyi gminnej został mocniej wprawiony w drabinę społeczną. Według świeżo opracowanych przepisów o wyborze sołtysów, kandydaci na ten urząd muszą mieć co najmniej 25 lat wieku, być mieszkańcami wsi, w której chcą pełnić obowiązki odnośne, niekaranymi sądownie. Pierwszeństwo mieć będą byli wojskowi. Każdy sołtys może mieć w swym rewirze 100 do 500 dymów. Czas służby jest trzyletni. W razie jeśli władza zatwierdzająca sołtysa uzna jego postępowanie za korzystne dla gminy, może go pozostawić na urzędzie nadal bez ponownych wyborów. Wynagrodzenie tych urzędników, stosownie do środków miejscowych, wynosić będzie rs. 72 do 144 rocznie, przyczem ma on prawo do bezpłatnego mieszkania od gminy.

Korespondent *Gazety warszawskiej* z Radomia spostrzega, że włościanie okoliczni, chętnie przed kilku laty nabywający majątki przeznaczone do rozparcelowania, nie dają się obecnie nakłonić do działów, pomimo warunków korzystnych i cen przystępnych; nie dość tego — wogóle objawiają stanowczą niechęć, a nawet protestują przeciwko ćwiartowaniu dotąd niepodzielnej własności dworskiej. Zdarzyło się np. że właściciel Młodnic w pow. radomskim, przyciśnięty okolicznościami, postanowił rozkolonizować swój majątek 20-włókowy. Gdy jednak przyszło do oględzin na miejscu i nowonabywcy zeszli się na gruncie z gospodarzami miejscowymi, oddawna tam osiadłymi, ci im oświadczyli wręcz, że nie życzą sobie nowych sąsiadów i radzą im zaniechać układów, gdyż inaczej poznają w nich najzażartszych wrogów, tak, iż najkorzystniejsze kupno stanie się dla nich nieszczęściem. „Powodem takiego oświadczenia — powiada korespondent — jest z jednej strony chęć nieuszczuplania korzyści, jakie ciągną włościanie ze wspólnego pastwiska z dworem, z którego ten mało co korzysta, a również niepowrotna utrata wszelkich zarobków, jakie mają ze dworu. Sami włościanie widzą teraz z przykładu wsi sąsiednich, że dopóki dworskie prowadzi się gospodarstwo, osiedli gospodarze mają ciągłe zarobki nietylko w czasie prac letnich, ale i w zimie, przy młóceniu zboża, jego dostawach i sprowadzaniu różnych materyałów; z chwilą rozkolonizowania takiego dworskiego majątku wszelkie zarobki ustają i gospodarze biednieją, bo ani pieszy robotnik, a tem bardziej furmanka dla nowych kolonistów są niepotrzebne." Ostatni rok ciężki dla inwentarza, potrzeba dokupywania paszy obok braku dochodów, tak dalece uwidocznił ten stosunek, że włościanie jak ognia boją się rozkawałkowywania majątku. Jest to, zdaniem naszem, zjawisko wielce charakterystyczne wobec „powszechnego" podobno u włościaństwa prądu do pochłaniania wielkiej własności kawałkami.

Zastój, panujący obecnie w przemyśle polskim, nie przestaje dostarczać wątku publicystom naszym i ruskim. Ponieważ pożądanem jest wyświetlanie zakulisowej strony przesileń przemysłowych, jako dowodów niemocy gospodarki indywidualistycznej, *Dniewnik warszawski* zaś odkrył zdaje się typową cechę tego przesilenia u nas, pomówmy więc o tej sprawie. Za pierwszą i najgłówniejszą przyczynę „upadku" naszego przemysłu wielkiego uważa on brak kapitału obrotowego i nadmierny rozwój kredytu wekslowego. Dawniej do fabrykacyi brali się kapitaliści i skalę produkcyi stosowali do rozmiaru kapitału. Każdy warsztat odpowiadał tysiącowi rubli, według ilości warsztatów wnioskować można było o wysokości kapitału posiadanego przez fabrykanta. Odbyt też nosił cechy większej prawidłowości: nabywcy zgłaszali się z gotówką, a zakupy robili odpowiednio do potrzeb. To też ceny towarów były stałe. Dziś zaszła zmiana gruntowna. Wdarli się do produkcyi rekini aferzyści — zapanowała spekulacya. Żeby zostać fabrykantem i puścić w ruch pięćdziesiąt warsztatów, nie potrzeba już gotówki 50 tysięcy, lecz dość posiadać zdrowy mózg do manipulacyi wekslowej, która da się określić zdaniem — „ty mnie podpisz, a ja tobie" — i tak aż do nieskończoności. Wełnę oraz inne materyały nabywa się na weksel — drugim wekslem, ten zaś — trzecim itd. Stąd też towar narzuca się pierwszemu lepszemu nabywcy, oczekiwanemu przez fabrykanta jeszcze za rogatką, byleby jaknajprędzej otrzymać upragniony weksel. Niezbędny on mu jest do wypłaty terminowej, do wymiany starych weksli. Mając go w ręku, może nim obracać. Od weksla się zaczyna i na wekslu się kończy cały interes. Nie sukiennym, lecz *wekslowym* należałoby zwać nasz przemysł. Ta słaba strona jest gruntem dla wszelkiego rodzaju pasorzytów, bankierów-procentników i komisantów-pośredników, stanowiących bolesną narośl na chorem ciele fabrykantów. Trzymają oni ich w szachu. Dla łatwiejszego obracania wekslem fabrykant nie zadawala się regularnem dyskontem w Banku państwa, w obawie ujawnienia machinacyi, lecz wchodzi w stosunki z bankierem, który za otrzymane od niego weksle część tylko wydaje mu pieniędzy, tak iż cały mechanizm wekslowy zostaje w bankiera ręku. Dopóki bankier wyczuć może puls u fabrykanta, podtrzymuje ten mechanizm, mając zresztą na jednego rubla 20 — zabezpieczenia najczęściej w towarze; skoro zaś tylko dostrzeże osłabienie, natychmiast opuszcza go i bieg mechanizmu tamuje. W czasie dokonywanej przez bankiera operacyi nad fabrykantem, poluje na niego także „komisyoner" i wypatrzywszy najtrudniejszą dla przedsiębiorcy chwilę wypłat, rzuca się nań. Przyczem jeżeli wypłaty dokonywane są gotówką, towar się wydaje za bezcen, jeżeli wekslem — to byle jakim, gdyż jedno i drugie potrzebne jest fabrykantowi, jak tonącemu brzytwa, więc mało dba o straty na towarze lub o to, że weksel w terminie zostanie zaprotestowany; za plecami działa maszyna-bankier i trzeba ją posilać, bo inaczej całkiem ustanie. Póki można, fabrykant się miota w ten sposób na wszystkie strony, a gdy jest krucho—przestaje istnieć. Zdarza się, iż ni stąd ni zowąd, jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej, upada naraz aż kilka fabryk. Taka anomalia w stosunkach przemysłowych, powiada autor (niejaki p. Berman) nie pozostaje bez wpływu i na produkcyę pogorszającą się z każdym rokiem. Tracąc pod nożycami bankierskiemi na towarze, uciekają się do zafałszowań. Tu właśnie ma tkwić przyczyna zastępowania przez fabrykantów łódzkich wełny naturalnej—sztuczną, czyli tak zwanym „tybetem." Naturalnie całą tę genezę „upadku" naszego przemysłu, musimy przyjąć z możliwem zastrzeżeniem. Ale zrobimy pewną uwagę. Rozwój falsyfikacyi (ucieczka do surogatów), zdaniem autora, w naszym przemyśle ma być wynikiem spekulacyi gorączkowej, wiadomo jednak, że od pewnego czasu wełna sztuczna, fabrykowana z odpadków zagranicznych, zdobyła sobie odbyt w fabrykach okręgu włodzimierskiego i moskiewskiego: pożądanem byłoby zbadać od czego tam jest zależnem to samo zjawisko i czy w razie dotarcia do sedna, nie okazałoby się, iż spekulacya z falsyfikacyą nie jest cechą antropologiczną i rasową, lecz wogóle „cnotą" układu najemniczo-towarowego?..

Pan A. Wróblewski w *Wieku*, na miejsce panującego w stosunkach szpitalnych na prowincyi nieładu — stawia swój następujący wniosek. Wymaga, żeby chorzy zajmowali łóżka szpitalne *bezpłatnie*, lecz natomiast koszty kuracyi, pobierane z danego powiatu w stosunku $1\frac{1}{3}$ od tysiąca z sumy ubezpieczonych nieruchomości wnoszone były, jak każdy inny podatek rządowy, do kasy powiatowej, skąd stosownie do etatu i asygnacyi rady powiatowej, wypłacanoby je zarządowi szpitala lub interesantom. Korzyści z takiej reformy mają być następujące: chorzy, nie będąc obowiązani do płacenia kosztów kuracyi osobiście, wcześnie udawać się poczną do szpitali, zatem skutecznie będą leczeni i unikną praktyk znachorskich; szpitale posiądą stałe fundusze, na których im zbywało skutkiem trudnego ściągania kosztów i ich umarzania; ustanie chaos i nadmiar korespondencyi; zbyteczonem okaże się ukanie do ofiarności publicznej. Do ludzi kompetentnych nrleży rozpatrzenie tego wniosku i w razie wykazania w nim możliwości urzeczywistnienia—wcielenie go jaknajrychlejsze w życie.

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Szkoły przemysłowo-rzemieślnicze.

Niedawno p. prezydent miasta przesłał Towarzystwu popierania przemysłu i handlu komunikat kuratora warszawskiego okręgu naukowego w sprawie szkół przemysłowo-rzemieślniczych. Obecnie Towarzystwo przygotowało szczegółową odpowiedź. Uważano za właściwe: 1) otworzyć w Warszawie połączone szkoły średnie i niższe techniczne z oddziałami: mechanicznym, chemicznym i budowlanym w każdej; 2) przy szkole miejskiej otworzyć rzemieślniczą. P. kurator w punkcie 3-im radził: „Pozostawić inicyatywie prywatnej otwieranie w Warszawie i innych miastach szkół specyalnych dla tych rzemiosł, które przez osoby prywatne uznane będą za konieczne." Towarzystwo, uwzględniając również swobodę działania osób prywatnych, wyraża swoje powątpiewanie w tym względzie, twierdząc, że wyłącznie na inicyatywie prywatnej bez pomocy rządu polegać nie można. Następnie uważa za pożyteczne: szkoły niższe techniczne z jednym tylko oddziałem mechanicznym (typ X) w Kaliszu, Płocku, Łomży, Lublinie i Częstochowie. W tej ostatniej, ze względu na szybko rozwijający się przemysł miejscowy i okoliczny (Sosnowiec, Zawiercie, Nowo-Radomsk itd.), z dwoma oddziałami: mechanicznym i chemicznym. Ponieważ w wielu miejscowościach Królestwa istnieje przemysł drobny, który cierpi skutkiem braku odpowiednio wykształconych robotników, Towarzystwo więc uważa za konieczne: szkoły rzemieślnicze specyalne w Kielcach lub Chęcinach z kierunkiem kamieniarsko-snycerskim, w Zduńskiej Woli lub Pabianicach — z kierunkiem tkackim, w Maryampolu — z kierunkiem tkackim, w Sokołowie lub Garwolinie z kierunkiem garbarsko-kożuszniczym, w Ćmielowie lub Iłży — z kierunkiem stolarsko-modelarskim, w Ostrołęce — z kierunkiem stolarsko-snycerskim, w Częstochowie — z kierunkiem galanteryi metalowej, w Augustowie — z kierunkiem koszykarskim. Ze względu na „rolniczy charakter kraju" i na gwałtowną potrzebę specyalnego wykształcenia oficyalistów, Towarzystwo uważa za pożądane założenie chociażby dwu szkół średnich rolniczych, w Łowiczu i Nowej Aleksandryi (Puławach). Ponieważ kandydaci do szkół niższych technicznych powinni według programu kończyć przynajmniej 2 klasy szkół miejskich lub wiejskich, powiększenie liczby tych szkół, zdaniem Towarzystwa, byłoby bardzo pożądane.

Wiadomości społeczne. Ogłoszono ustawę o gubernialnych i powiatowych instytucyach ziemskich. Ustawa ta ma na celu zwężenie zakresu działalności instytucyj samorządnych oraz poddania ich nadzorowi ogólno-państwowych władz administracyjnych. W skład ciał nadzorczych wejdą dwa żywioły: urzędniczy i szlachecki. Ta ustawa zamiast ustawy instytucyj ziemskich z dnia 1 stycznia 1864 r. ma być wprowadzona w guberniach: besarabskiej, włodzimierskiej, wołogodzkiej, kurskiej, moskiewskiej, niżegrodzkiej, nowogrodzkiej, ołonieckiej, orłowskiej, penzeńskiej, permskiej, połtawskiej, pskowskiej, riazańskiej, samarskiej, petersburskiej, saratowskiej, simbirskiej, smoleńskiej, taurydzkiej, tambowskiej, tulskiej, twerskiej, ufimskiej, charkowskiej, chersońskiej, czernihowskiej i jarosławskiej!

Szkoły. W gimnazyum I prośby o przyjęcie nowych kandydatów składać należy od 15 do 27 sierpnia. Miejsca są wolne do wszystkich klas. W gimnazyum II— od 13 do 22 sierpnia. Miejsca są do klasy wstępnej, 3, 6, 7 i 8. Egzaminy nowowstępujących rozpoczną się w d. 23 sierpnia. W gimnazyum III — od dnia 19 sierpnia każdodziennie od godz. 11 do 12. Miejsca są wolne do klasy wstępnej, 2, 3, 5, 7 i 8. W gimn. V prośby przyjmowane będą od 19 sierpnia. Miejsca wolne są tylko do klasy wstępnej. Egzaminy nowych kandydatów rozpoczną się w dniu 28 sierpnia. W gimnazyum VI prośby o przyjęcie już są przyjmowane od godziny 1 do 2 każdodziennie, z wyjątkiem świąt. Miejsca wolne są tylko w klasie 5, 6 i 8.

— Nową szkołę pszczelniczo-ogrodniczą z wykładem jedwabnictwa i miodosytnictwa zakłada w Warszawie p. Kazimierz Lewicki. Szkoła ma się mieścić w alejach Ujazdowskich w ogrodach p. Zygmunta Puslowskiego.

— Pomocnikiem prosektora przy katedrze anatomii w uniwersytecie warszawskim został mianowany p. Aleksander Lubarski, kandydat nauk przyrodniczych uniwersytetu noworosyjskiego.

— Specyalna komisya wojskowa opracowała nowy regulamin nauki maszerowania wojskowego i gimnastyki do użytku średnich zakładów naukowych. Regulamin ten będzie obowiązywać od przyszłego roku szkolnego. Dotychczas gimnastyka z ćwiczeniami wojskowemi prowadzona była przez nauczycieli dorywczo i bez ogólnego planu. Na zasadzie nowego regulaminu, w pewne dni tygodnia, przy skróconym czasie innych lekcyj, będzie następował wymarsz na zewnątrz gmachu gimnazyalnego. Starsi uczniowie ćwiczenia musztry wojennej odbywać będą z drewnianą podobizną broni pięciofuntowej wagi. W niższych klasach przeważać ma gimnastyka szwedzka.

Sprawy kolejowe. *Prawit. Wiestnik* ogłasza, że kolej Bydgoska przyłączoną zostaje do Wiedeńskiej pod nazwą „Oddziału Aleksandrowskiego."

— Międzynarodowe towarzystwo zaprowadza bezpośrednią komunikacyę wagonami sypialnymi między Wierzbołowem a Petersburgiem.

Biuro przeprowadzek. Celem pośredniczenia przy wynajmie mieszkań, przeprowadzek, utrzymywania czystości w lokalach, konserwacyi mebli i garderoby, oraz w celu świadczenia innych usług właścicielom i lokatorom — zawiązuje się przedsiębiorstwo. Jeśli się istotnie zawiąże, nastąpi bolesna, lecz konieczna w dzisiejszych warunkach zmiana luźnych a dorywczych usług przygodnych „przeprowadzkarzy" (bolesna dla stróży, ubogich rzemieślników) — na stałe, wytworne i sforne służebników wielkiego kapitału.

Z prasy. Redaktor *Gazety świątecznej*, p. Prószyński (Promyk), otrzymał pozwolenie na pomieszczanie w wydawnictwie swojem rysunków, objaśniających artykuły rolnicze.

Wydział śledczy ma być zreformowany w całem państwie.

Wystawy. Ministeryum dóbr państwa zezwoliło na urządzenie w r. b. dwudziestu wystaw przemysłowo-rolniczych w następujących miejscowościach: Petersburgu, Permie, Borysoglebsku, Kijowie, Fellinie, Tukkumie, Smoleńsku. Dorpacie, Walce, Wendenie, Zacharynie, Charkowie, Pirutynie, Pernowie, Oberpalenie, Jekaterynosławiu i Chersoniu.

Zmarli. Edmund Stawiski, rolnik i ekonomista, autor dzieła p. t. „Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego."

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Czytelnikom. Zwrócona do nas z wielu stron uwaga: „nie warto kalać pióra walką z takim p. Piltzem", byłaby słuszną, gdyby chodziło tylko o sam wstręt. Ale jeżeli obok *Prawdy* wystąpiły przeciw niemu *Wiek*, *Głos*, *Przegląd tygodniowy*, cztery pisma, które nie są połączone ani związkami osobistymi, ani wspólnością kierunku, a po części dążą rozbieżnie, to świadczy, że owo wystąpienie ma swoje powody głębsze, które w imię obowiązku każą przemódz odrazę. Dopóki p. Piltz, który do literatury wcale nie należy, bo dla niej nie pracuje, tylko nią handluje, pozostawał na stanowisku liweranta, właściciela baraku i dostawcy sucharów dla wojska literackiego, co najwyżej żartowano tylko z jego „próby moralnej"; ale gdy p. Piltz zaczął grać rolę generała, toczyć bitwy, wypowiadać wojny, zawierać traktaty i znieważać istotnych przywódców piśmiennictwa, przed którymi stać był powinien z obnażoną głową, sprowadzono go na właściwe miejsce i poddano rewizyi jego kwalifikacye umysłowo-moralne. Bo byłoby to zaparciem się własnej i społecznej godności, gdyby pozwolono p. Piltzowi hetmanić i stanowić sąd, piętnujący potwarzą ludzi uczciwych i zasłużonych. Nadeptany stopami czterech pism, naturalnie „pogardził" wszystkiemi, ale ze szczególną zajadłością, wywołaną zarówno strachem, jak gniewem, zwrócił się przeciw naszej. O ile paszkwil jego zawiera obelgi — przyjmujemy je od takiego przeciwnika z najwyższem zadowoleniem; o ile zawiera dowody — poprzestajemy tymczasem na oświadczeniu, że cały wywód p. Piltza bądź przez sfałszowanie faktów, bądź przez krętarskie ich związanie, bądź też — i nadewszystko — przez opuszczenie dokumentów dla niego niepożądanych — jest bezczelnem kłamstwem, które, wobec kilkakrotnego złamania przezeń warunków zobowiązania honorowego, już mamy prawo postawić i postawimy w całkowitem oświetleniu. Tyle na dziś.

J. Ty on. Egr. zajęty studyami w Wiedniu, Br. ukończył świeżo pracę, którą drukować będziemy, a przytem jest chory, Bo—is to samo co N. B., N. ciągle pisuje. W jednym z najbliższych numerów *Prawdy* rozpoczniemy obszerny zarys działalności Prusa.

Panu F. W. z Hożej. Redaktor powróci do Warszawy w poniedziałek i między 2—3 może udzielić Panu żądanych objaśnień.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 6 Іюля 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.